w młodych oczach

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

(ZATWIERDZONE DO BIBLIOTEK UCZNIOWSKICH DLA MŁODZIEŻY POWYŻEJ LAT 14 PRZEZ MIN. W. R. i O. P., 15. VII. 38. Nr. II. Pr. — 16007/38).



Maturzyści!
Trójka wzywa was do obozów pracy!

NR 6 (19) WARSZAWA ROK 3

WYD. ORGANIZACJA PRACY OBYWATELSKIEJ MŁODZIEŻY STRAŻ PRZEDNIA

CHŁOPCY MOI NAJDROŻSI!

Piszę do Was ten list, niezmiernie pilny, bo mam ważną do Was sprawę. Dotąd pisałem dla Was książki, pomienialiśmy się na serca i nie ma na świecie większych przyjaciół, niż Wy i ja. Jestem przeto najpewniejszy, dryblasy moje kochane, że ten list przeczytacie najmniej trzy razy, od początku do końca, a potem od końca do początku, jak gdyby to był list od panienki. Ja wprawdzie mało przypominam panienkę, ale za to list mój będzie pełny miłości.



Słuchajcie, najmilsi urwipołcie. Jest sprawa taka: lotnicy ogłaszają grzmiącym głosem, że Polsce trzeba nowych lotników. Wołają tak: — „Młodości, damy ci skrzydła! Przyjdź do nas, do naszej szkoły, a uczynimy cię zbrojnym ptakiem na służbie Ojczyzny! Przyjdź do nas, a powitamy cię okrzykiem tak radosnym, że liście opadną z drzew!"



O, Boże, co latasz ponad gwiazdami! Czyż może być szczęście większe, niźli skrzydla? I oto te skrzydła najwspanialsze przypniemy do ramion każdemu, co zapragnie być polskim ptakiem. Przyjdź i powiedz głośno: — „Jestem gotowy! Mam serce takie mocne, że można nim gwoździe wbijać w ścianę. Mam oczy takie jak jastrząb. Polakiem jestem i nie boję się nawet czorta ogoniastego. Nauczcie mnie latać!"



Nauczą cię, świetnie cię nauczą, jak z płaskiej ziemi można wylecieć aż do gwiazd. A ja ci, chłopcze mój złoty, przedtem powiem, kim jest lotnik.

Patrzymy: szybuje on pośród obłoków. Czy to zabawa, czy sport, czy igraszka przeraźliwie odważnego człowieka? Nie! To olbrzymia praca i wzniosła praca. Ten śmiały człowiek podwyższa Ojczyznę. To jest jego praca — najszczytniejsza. Ojczyzną jest dzisiaj nie tylko las i woda, ziemia i morze, rojne domy kamienne i białe chałupiny; jest nią zarówno i błękitna ponad nami wysokość, ocean chmur, osiedla gwiazd, zorze wschodnie i zachodnie, czyste i niezmierzone powietrze. Polską jest i to, co jest ponad nami — nasz dach niebieski.



Niech oracz uprawia spokojnie swoją ziemię, bo lotnik krąży ponad nim wysoko i wypatruje i strzeże, aby mu nikt upiornym cieniem nie przesłonił słońca. Odprawia on wartę wieczystą, widząc daleko.



O lotnicy! O, ty chłopcze bystrooki, co będziesz kiedyś lotnikiem! Przyrzekamy wam, że nigdy nie będziecie sami w przestworzach, zagubieni wśród chmur. Nigdy nie będziecie sami wśród burzy, ani wtedy, kiedy was będzie wypatrywało na niebiosach cyklopie oko nieprzyjacielskiego reflektora. Czy słyszysz mnie ty, co marzysz o tym, aby zostać lotnikiem? My, z nizin i padołów, przyrzekamy ci miłość...



Och, jakże ja chętnie poleciał bym z Wami, lecz nie polecę, bo mam w sercu tyle zgryzot i trosk, a we łbie tyle ciężkich myśli, że mnie żaden samolot nie udźwignie. Cała moja nadzieja w młodych latawcach. Wychowałem już przecie całe pokolenie. Nie wszyscy chłopcy z tych, co czytali moje książki, z tego powodu skapieli, albo im się rozum pomieszał. Są tacy, co ocaleli i są tacy, co będą lotnikami. Może się zjawi kiedy u mnie podchorążak z lotniczej szkoły, pierwszym swoim lotem upojony i opowie mi o wszystkim, a ja to opiszę. Na wszelki wypadek uśmiecham się do każdego z nich.



Straszne hrabie są ci podchorążacy z lotniczej szkoły. Bez motoru do takiego nie przystępuj. Oto zbliża się pan podchorąży - lotnik! — „Orły z drogi, sępy z drogi!" — Tylko panny mogą zostać... Pan podchorąży nie ma skrzydeł u ramion, ale tak się nosi, jak gdyby je miał złożone pod mundurem. Na wszystko patrzy z góry, bo do tego przywykł. Gada głośno, bo musi przecież przekrzyczeć silnik. Straszliwie jest elegancki, bo jest „błękitnym chłopcem". Oczy ma najczęściej niebieskie, bo wyprane w błękicie, a takie jastrzębie, że w największym tłumie i z największej odległości wypatrzy dziewicę, tak smukłą, jak maszt na lotnisku. A co najdziwniejsze, że się taki latający chłopiec cudownie uśmiecha. Skąd, szelma, wziął ten uśmiech? Na ziemi go nie znaleźć... Zerwał go, urwiśmieszek, na słonecznym drzewie, na wysokim niebie.



Na sto tysięcy beczek benzyny i milion baniek oliwy! Zjawcie się tłumnie, całą gromadą, niepoliczoną gromadą. A kiedy wy zostaniecie lotnikami, nie radziłbym żadnemu czortowi włazić na polskie niebo, bo jeszcze prędzej stamtąd zleci, niż przyleciał. Cześć!



KORNEL MAKUSZYŃSKI

w młodych oczach

czasopismo młodzieży szkolnej

(zatwierdzone do bibliotek uczniowskich dla młodzieży powyżej lat 14-tu przez Min. W. R. i O. P.)

Wyd. przez O. P. O. M. STRAŻ PRZEDNIA

Nr 6 (19) Czerwiec 1939 r. Rok 3

ŻEGNAJ SZKOŁO!

Jeszcze tylko kilka czarnych kartek w kalendarzu a potem już — *finis scholae:* 60 zielonych liczb czyli jeden nieustający dzień lasu, słońca i wody... krótko mówiąc: F E R I E.

Rzesza sztubacka żyje, jak wiadomo, według innego kalendarza, niż dorosłe społeczeństwo. Dla niej stary rok kończy się w połowie czerwca, a nowy zaczyna się we wrześniu. I odwrotnie niż zwykle: pożegnanie starego roku jest bardzo wesołe, a powitanie nowego..., ale to nie należy do tematu. Idzie o to, by każdy odchodzący rok zakończyć także skrupulatnym bilansem, a każdy nowy zaczynać z określonym planem w głowie. Ten bilans na swój osobisty użytek każdy z nas będzie już miał wkrótce w kieszeni: mały złożony we czworo arkusik z urzędową pieczątką... Każdy też będzie wiedział, co go czeka z nowym rokiem: wyższe klasy a może powtórka, czy też — w świat.

Nam idzie tu o coś innego. O rzecz niezmiernie do oceny trudną: a całą szkołę i całą młodzież. Warto na zakończenie zdać sobie z tego sprawę, jak rok ten został przez ogół młodzieży spędzony. Warto tym bardziej, jeśli zgodzimy się, że nie był to zwykły rok tak w życiu szkoły, jak i całego narodu.

Szkoła po znanej przebudowie w tym roku po raz pierwszy osiągnęła swój nowy, pełny kształt ustrojowy. Wszystkie klasy pracowały w myśl nowych programów, których celem było związać jak najsilniej młodych z rzeczywistością Polski, natchnąć ich ideami pracy dla Niej: Wiadomo jednak, że tradycja pracy szkolnej nie tak łatwo ulega zmianie. Typ ucznia, sposób uczenia się — są to wzory, które dziedziczy się nieraz z pokolenia na pokolenie. Wynalazcy ściągaczki czy tzw. „bryka" dawno już obrócili się w proch a dzieło ich żyje jeszcze, podobnie jak wiele innych odwiecznych sposobów „nauki ułatwionej".

Szkoła i uczniowie w niej zmieniają się niełatwo. Te same wiecznie przywary, ta sama wiecznie moda szkolna sprawia, że wewnątrz szkoły, wśród młodzieży postęp wszelki wlecze się zwykle żółwim krokiem. A jednak wydaje się, że w roku minionym coś się w murach szkoły i życiu młodzieży zmieniło. Wiemy zresztą co i dlaczego. Z całą pewnością zmieniła się na lepsze praca w szkole. Mówimy to nie na podstawie jednego przykładu i nie tylko wiedzeni łatwym optymizmem. Z wielu stron w Polsce, z wielu klas, zwłaszcza licealnych dochodzi nas ta opinia, że młode pokolenie bierze się do pracy szkolnej coraz poważniej i gruntowniej. Zdaje się, że wraz z minionym kryzysem gospodarczym minęliśmy także ów kryzys nauki po „łebkach". Że realne możliwości pracy w wielu dziedzinach, że życie stojące przed młodymi otworem wpływa na coraz poważniejsze traktowanie nauki. No bo jakże! Potrzeba nam tysięcy inżynierów, lekarzy, oficerów, techników, uczonych, działaczy! Polska domaga się pracy, woła o wiedzę fachową, tym zaś, co potrafią dać z siebie wiele, dać może ze swej strony dostatek, zapewnić karierę. Jesteśmy krajem niesytym sił fachowych, krajem pionierów, ziemią, która nieuków i leniów morzy głodem ale wiedzę, energię i umiejętną pracę wynagradza stokrotnie.

Kto ma się szczęście dziś uczyć, otrzymuje wielki p r z y w i l e j s p o ł e c z n y: możność szybkiego awansu i nieograniczone wprost pole do pracy. Kto ma dziś głowę na karku a w niej dobrze przyswojony fach, ten długo na owoce swej pracy czekać nie potrzebuje. Głupstwa o „nadprodukcji inteligencji", gdy prawdziwej inteligencji potrzeba dziś we wszystkich dziedzinach, wołają o pomstę do nieba. Powtarzamy raz jeszcze: Polska jest krajem nieograniczonych możliwości, krajem wielkiej przygody dla każdego, kto szuka w życiu przygód, wielkiej pracy, wielkich osiągnięć.

Ale nie o to tylko chodzi. Ten kraj wielkiej p r z y s z ł o ś c i jest dziś wciśnięty pomiędzy dwa ustroje państwowe, z których jeden jest groźniejszy od drugiego. Pracować dla naszej przyszłości, to pracować dla siły. Idea siły jest dla nas na długie pokolenie obowiązująca p r z e d w s z y s t k i m i i n n y m i w z g l ę d a m i. Kto twierdzi, że Polsce brak programu, że Polacy nie posiadają wspólnej idei, ten chyba obrany jest z rozumu! Żaden kraj na świecie nie posiada tak wyraźnego drogowskazu dla siebie, jak my — albowiem żaden kraj więcej niż żyje pomiędzy dwoma największymi wrogami świata, pomiędzy Hitlerem a Stalinem. Być w tych warunkach silnym, to znaczy być przygotowanym t o t a l n i e do obrony. Być stale gotowym do wojny na wszystkich odcinkach. Nie tylko działa, czołgi i armaty, nie tylko chłopskie ręce ale i inteligenckie mózgi niezbędne są w tej wojnie. Czyż trzeba raz jeszcze powtarzać, że wojna, która przyjdzie, będzie wojną uczonych, techników, agronomów, inżynierów, lekarzy — w s z y s t k i c h f a c h ó w, w s z y s t k i c h z a w o d ó w? W o j n a totalna potrzebuje w zwiększonej mierze tych wszystkich sił fachowych, których potrzebuje p o k ó j. Uczyć się dziś w szkole, to uczyć się nie tylko dla własnego dobrobytu, dla pokojowej pracy ale i dla wojny.

Więc jakże czas tracić, na lekcjach paznokcie obgryzać, w guziki na książce grać? Czyż nie jest to ś w i a d o m y m r o z ł a d o w y w a n i e m k a r a b i n u w o b l i c z u w r o g a? Każdy sztubak w szarej masie uczniowskiej zdaje się dziś rozumieć, że chwila, w której żyjemy jest w y j ą t k o w a i że zadania stojące przed nami, przed naszym pokoleniem, również są takie same. Polska domaga się od nas wiedzy, tempa i woli, na miarę g d y ń s k i e g o t e m p a i S t a l o w e j W o l i.

I dlatego nawet dziś w momencie rozstania ze szkołą na dwa miesiące mamy mocno w głowę wbity nasz pewnik:

Polski nie obroni się inaczej, tylko siłą.
Siły nie osiągnie się inaczej, tylko pracą.
Pracy nie udoskonali się inaczej, tylko
przez wiedzę.
Wiedzy nie zdobędzie się inaczej,
tylko przez naukę.
A nauki nie zdobędzie się nigdzie indziej,
tylko — w s z k o l e.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Ale tymczasem:

Ż E G N A J S Z K O Ł O!

JAK BRONIŁ SIĘ GDAŃSK PRZED PRUSKĄ PRZEMOCĄ

W r. 1764 Fryderyk II, *zatamował spław wiślany i najzupełniej bezprawnie* założył *komorę celną* w dolnym biegu Wisły opodal Kwidzynia. *Obsadził ją wojskiem i pod grozą armat ustanowił niepomiernie wysokie opłaty celne.*

W 1767 r. wystąpił *w obronie protestanckiej wiary*, uciskanej rzekomo przez Rzplitą w Gdańsku. Daremnie tłumaczyli mu rajcowie, że *„im się żadna krzywda na wierze nie dzieje, iżby jej mieli na polskiej koronie dochodzić*".

W roku 1771, pod pozorem epidemii otoczył miasto *„higienicznym kordonem wojsk*" za co kazał sobie wypłacić 100.000 dukatów rocznie (1771 — 1772 r.).

Gdańszczanie znienawidzili pruskie sąsiedztwo i zwrócili się o interwencję do innych państw. Tymczasem Fryderyk *cichaczem*, zajął *Langfuhr, Hel, a przede wszystkim port w Neufahrwasser*, gdzie odtąd zaczął ściągać opłaty od przepływających statków na rzacz skarbu pruskiego. Dowóz żywności do Gdańska został przy tym wstrzymany.

Gdańsk się nie ugiął. Mieszczanie okrzyknęli zgodnie, że „wolą raczej, aby ich w zwaliskach miasta zagrzebano, niżby mieli zezwolić na żądane zwierzchnictwo". Gmina Gdańsk zagroziła przy tym *śmiercią* każdemu, ktoby chciał działać przeciwnie. Prezydentowi pruskiemu zagroziła ludność śmiercią, gdyby się pokazał na ulicy.

Wówczas to Fryderyk II *wydał rozkaz ...odprowadzenia biegu Raduni, zaopatrującej Gdańsk w wodę słodką, i odcięcia wodociągów miejskich.*

Fryderyk Wilhelm II, jego następca, ogłosił miasto za „zjakobinizowane", przesiąknięte grzesznym duchem rewolucji francuskiej. Zażądał wydania siewców rewolucyjnych idei, pod pozorem, że ich działalność zagraża bezpieczeństwu sąsiednich Prus.

Z osobną deklaracją wystąpił wtedy Fryderyk Wilhelm do Gdańska, żądając złożenia broni. Dokument to *piętnujący zabór pruski*. M. in. mowa w nim wyraźnie: *„o mało przyjaznych sentymentach Gdańska od wielu lat ku królowi pruskiemu*", o

„PAN ADAM" — Z BLISKA

Adam Skwarczyński, mądry i niezawodny przyjaciel młodzieży i wychowawca swego pokolenia, znany jest ogółowi polskiemu ze swoich pism, przemówień, ze swojej działalności społecznej i publicystycznej. Tylko jednak najbliższym, obcującym z Nim poza codzienną pracą ludziom, znany był inny, równie może mocny nurt Jego bogatego życia.

Tęsknota do piękna, szukanie i odnajdywanie go w życiu codziennym, w przyrodzie, w sztuce, znajdowały niewątpliwie swój wyraz i w Jego społecznej pracy, utrwalając się w rytmie oddziaływań, w harmonii i zwartości myśli, w zespoleniu formy i treści wszystkich Jego poczynań. Jego pisma i kilkaset niewydanych dotąd listów, obok bogactwa treści posiadające dużą wartość artystyczną, oczekują jeszcze opracowania.

Muzyka była mu chyba najbliższą. Od wczesnego dzieciństwa zżywała go z dobrą muzyką matka, uczennica ucznia Szopena, Mikulego, pięknie jeszcze do ostatnich swych lat grająca, a także bardzo muzykalna siostra; za czasów uniwersyteckich najlepsze koncerty, wieczory muzyczne o wysokim poziomie w stowarzyszeniu akademickim, do którego należał.

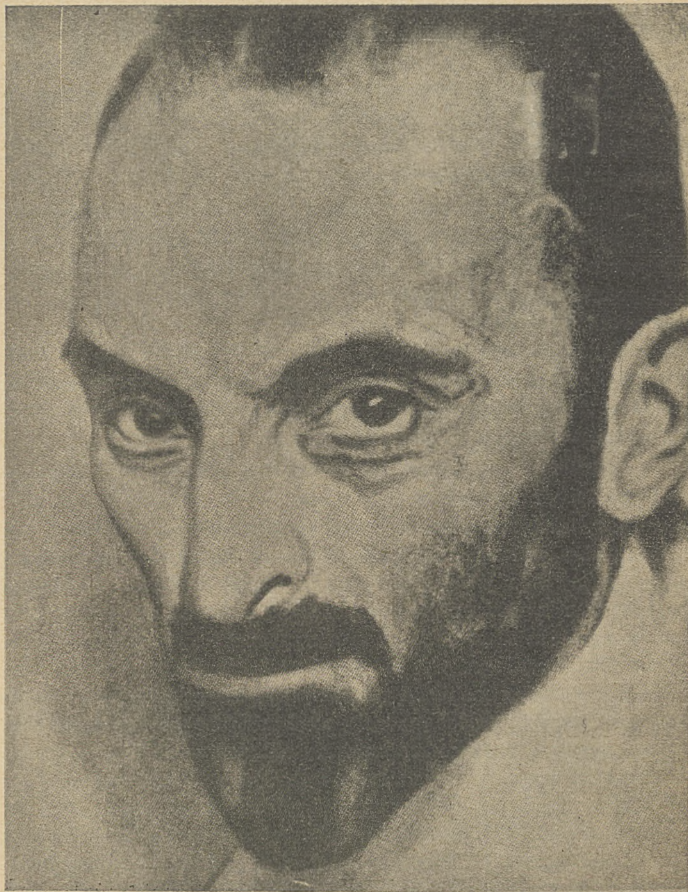
W więzieniu, pozbawiony książek i wrażeń ze świata, godzinami gwiżdże motywy z sonat i symfonii Beethovena, przypomina sobie polonezy i mazurki Szopena. Utwory tych dwóch wielkich muzyków zna prawie na pamięć, ale koncert skrzypcowy d-dur Beethovena, koncert fortepianowy f-moll Szopena, mazurki Szopena (zwłaszcza 13), z nowszej muzyki — „Harnasie" są mu chyba najmilsi.

W r. 1932 w czasie letniego wypoczynku w Kosowie, z trudem udało ciągnąć Go inaczej. Bogactwo tego świata, złożoność i prostota formy znajduje się na drogach prawdy. Gdyż— być może — ku pięknu, które jest doskonałością, poprzez z trudem doskonalące się kształty życia, rozwija się świat.

Szukając utrwalenia formy, „praktykowania" jej w rzeczywistości, Adam Skwarczyński zaczął malować. W tych pięciu latach (zaczął malować w 42-im roku życia, nie ucząc się tego poprzednio) powstało około 40 akwarel, wiele szkiców, rysunków. Są to pejzaże wsi, lasu, morza; drzewa, kwiaty, studia rąk i nieba, ruchy tańca. W samorzutnie doskonalącej się technice, w skrótach, zdradzających rękę artysty, w doborze kolorów dochodzi do coraz lepszych osiągnięć. Malował z zapamiętaniem, chwytając mijające błyski barw, z niezawodną pewnością zaciągając kontur. Z malarzy Malczewskiego i Wyczółkowskiego lubił najbardziej, rzeźby — Rodin'a, którego parę reprodukcji miał u siebie w pokoju. Mało też wiadomo, że przetłumaczył, będąc drugi raz w więzieniu, dość trudną książkę Rilke'go o Rodin'ie. Tłumaczenie to zaginęło, zabrane w niedrukowanym jeszcze, jedynym egzemplarzu, przez Niemców.

Jego upodobania artystyczne wyrażały się również w umiejętności, którą posiadał w wysokim stopniu, pięknego, głośnego czytania. Czytywał chętnie, zwłaszcza Norwida, Słowackiego. Rilke'go w skupieniu i z prostotą, odnajdując nieomylnie muzyczny akcent utworu.

Lecz także drobność codziennych wydarzeń umiała przynosić Mu radość: pięknem linii antycznego mebla, zacisznością wnętrza, doskonałością kwiatu, czy nawet śmiałą kompozycją kobiecego stroju.



Zdumiewały mnie też zawsze Jego wiadomości z botaniki i zoologii, znajomość tajemnic życia roślin i zwierząt. Interesowały Go obyczaje różnych ciem, motyli, owadów, znał ich budowę i rozliczne gatunki. Przez wiele lat własnoręcznie z wielkim zamiłowaniem uprawiał ogródek na Żoliborzu, sam też hodował rośliny pokojowe, z ciekawością przypatrując się, jak rozwijają się i rosną.

Kwiaty zawsze stały na Jego biurku; mówił często, że odpoczywa przy pracy patrząc na nie.

Adam Skwarczyński, społecznik i wychowawca, był człowiekiem żyjącym pełnią, i wiele źródeł pogłębiało nurt Jego życia.

Dr ANNA SKWARCZYŃSKA

„źle rozumianej wolności", i wręcz „o przywiązaniu do polskich spisków"...

Z deklaracją tą, w marcu 1793 r., na czele licznych wojsk stanął pruski generał Raumer pod murami miasta. Senat gdański przez trzy dni obradował nad sytuacją. W końcu, wystosował do króla Stanisława Augusta pamiętne pismo, że *„pozbawiony wszelkiej rady i wsparcia, zmuszony jest ulec przeważnej sile nieprzyjacielskiej dla zabieżenia doszczętnej ruinie miasta"*.

Ale i z taką myślą, *żadną miarą nie chciała się ludność Gdańska pogodzić*. Tłum otoczył ratusz. Miasto zawrzało gniewem. Podpalono śpichrze znanych senatorów wznosząc okrzyki przeciw zdrajcom. Rzucono się do arsenału. W mig rozchwytano broń. Na przedmieściach wzniesiono barykady. Na wałach stanęli mieszczanie, wszystkie cechy, a z nimi korporacje Trzeciego Ordynku. I zagrzmiały armaty. *...Tak powitał Gdańsk nadciągające kolumny wojsk pruskich w Wielki Czwartek 1793 roku.*

Przyszło do krwawego starcia. Setki trupów usiało pobojowisko. Po kilkudniowej walce zwycięstwo przypadło pruskiej przemocy. W ponurym milczeniu, przez opustoszałe ulice, z czterech stron miasta wkroczyły wreszcie wojska pruskie. W Gdańsku witano ich klątwami...

Z. J.

Z ZAGADNIEŃ WOJNY

SZPIEDZY

Wiadomo, iż posiadanie wiadomości o tym, jakie środki walki, jakie siły i jakie zamiary ma nieprzyjaciel, w wielu wypadkach decyduje o zwycięstwie. Już Epaminondas miał twierdzić, że rzeczą najpotrzebniejszą dowódcy jest znajomość zamiarów przeciwnika, którą oczywiście można osiągnąć przez odpowiedni wywiad. W komentarzach Juliusza Cezara spotykamy liczne przykłady szpiegostwa.

Mistrzem szpiegostwa i twórcą jego nowoczesnej organizacji był Napoleon I. Twierdził on, że każdy dowódca, nie działający w absolutnej pustyni, lecz w kraju zaludnionym, który by nie potrafił znaleźć potrzebnych mu wiadomości — nie zna się na swoim rzemiośle.

Najwybitniejszym pracownikiem w tej dziedzinie w armii Napoleona był jeden z najzręczniejscych szpiegów wszystkich czasów: Karol Schulmeister. Jemu należy przypisać piorunujące zwycięstwo Napoleona pod Ulm.

Doświadczenia wojen napoleońskich zostały wykorzystane głównie przez Prusaków. Zdawano sobie dokładnie sprawę i w innych krajach z konieczności zorganizowania wywiadu tajnego, jednakże został on postawiony na stopie iście napoleońskiej w jednych tylko Prusach, dzięki wybitnie zdolnemu agentowi, niejakiemu Stieberowi, który doszedł do stanowiska szefa wywiadu niemieckiego, ale jednocześnie nie gardził i osobistą pracą szpiega. On to przygotował kampanię austriacką 1866 r. instalując osobiście wzdłuż przypuszczalnych linij operacyjnych wojska pruskiego całą sieć szpiegów-rezydentów, którzy z chwilą zjawienia się oddziałów pruskich natychmiast informowali o wszystkim, co tylko tym oddziałom mogło być potrzebne. Tę samą robotę przerobił po raz drugi w stosunku do Francji w latach 1866—69, przygotowując inwazję 1870. Zbadał on w tym czasie 14 departamentów francuskich, które były obsadzone gęstą siecią szpiegowską i podzielone na 4 okręgi, podlegające inspektorom. W czasie wojny sieć ta działała bez zarzutu, uzupełniając w sposób nader szczęśliwy nieraz bardzo niedostateczną pracę wojskowego rozpoznania pruskiego.

W okresie pomiędzy wojną 1870 roku a światową, w czasie „zbrojnego pokoju" i wyścigu zbrojeń, akcja szpiegowska wszystkich państw rozrosła się do olbrzymich wprost rozmiarów. Między innymi niezmiernie skutecznie działali przed wojną japońską i podczas niej szpiedzy japońscy, przygotowując zwycięstwo swojej ojczyzny.

Sama wojna światowa doprowadziła do niesłychanego rozwoju szpiegostwa. Nawet najogólniejszy rys jego dziejów w tym okresie nie da się omówić w ramach krótkiego artykułu.

Z teki rysownika.



Mieczysław Młudzik. Rysunek z wyobraźni: Gen. Bem.

FLIRT Z BELLONĄ

...Krawiec ubrał go w przedziwnie workowaty „uniform", złożony z podchorążackiego „letniaka" po starszym bracie i zakrótkich spodni, ojciec opasał dobrze skądinąd znanym pasem („tylko na niego uważaj, bo mi będzie jeszcze potrzebny, jak zmobilizują"), szewc ostro podkuł srogie buciary, matka wetknęła w kieszeń chusteczkę do nosa, na głowę nacisnął zadzierzyście czapkę, zrobił w tył zwrot i waląc podkówkami pomaszerował na pierwszą zbiórkę.

Od tego czasu mijają już dwa lata. Dwa lata zabawy w wojsko, dwa lata flirtu z Belloną. Jakże daleki jest dzisiejszy „starszy junak" od owego zielonego fuksa z pierwszej zbiórki! Zbliżamy się dziś do szczytowego punktu junackiej kariery — do obozu letniego. Jest okazja, żeby sięgnąć pamięcią wstecz, do pierwocin drelichowego życia. A więc — w tył zwrot!

Od czasu, gdy junacki fuks w zielonym drelichu po raz pierwszy wyprężył się na komendę instruktora, minęło wiele miesięcy, wiele zbiórek. Ruchy nabrały sprężystości, w głowie „dostało przydział" to i owo z wojskowych mądrości. Junak zaczął odróżniać — mówiąc obrazowo — karabin od drąga a bagnet od scyzoryka. „Starszy junak" za dwa miesiące znajdzie się w obozie letnim, a za rok (może prędzej?) stanie się rekrutem z cenzusem.

Gdy myślę nad wartościami, które wyniosłem z niezliczonych ćwiczeń w hufcu, usuwam na plan dalszy te sprawy, którymi pozornie najwięcej się zajmowaliśmy, a więc wyszkolenie często wojskowe. Zapewne, że i to ma duże znaczenie, że przeszkolony w hufcu junak jest o wiele lepiej przygotowany do żołnierki, ale o tym mówić będziemy mogli dopiero wtedy, gdy zetkniemy się z „prawdziwym" wojskiem.

Dziś na pierwszy plan wysuwam wartości inne, korzyści takie, o jakich nie mówi żadna instrukcja wyszkolenia. Myślę tu o zbliżeniu naszych cywilnych dusz do wojska i o częścio-

NOWELA „W MŁODYCH OCZACH"

TADEUSZ STASINOWSKI (Inowrocław, lic.)

Epos o chitynowym pancerzu

„Niechaj żadna rzecz, żadne źdźbło nie marnuje się w naszym kraju. Wszystko wykorzystać dla wzmocnienia pogotowia militarnego". Te dwa lapidarne zdania wypowiedział rok temu wódz. I gauleiter Himmelmauer nie tylko wypisał je w pamięci i na ścianach swego gabinetu oraz na wszystkich innych, wchodzących w zakres jego władzy ścianach i płotach, ale i wprowadzał, a przynajmniej wprowadzać się starał w czyn. Teraz, po roku, ogarniając smętnym wzrokiem swój gabinet i wypisane w nim hasła, czynił próbę rachunku swego socjalistyczno-narodowego sumienia. Puszki od konserw? Zebrano. Ości z ryb? Dwie tonny. Stare stalówki? Były. Makulatura? Zepsute żarówki? Tak, wszystko zebrano, co się dało zebrać i pod tym względem można było sumienie mieć spokojne, ale... to samo zrobiło dziesięciu innych gauleiterów. A Himmelmauer koniecznie chciał się wyróżnić. Wpływały na to czynniki natury nie tylko — powiedzmy — ideowej, ale i to w dużym stopniu nadzieja otrzymania jako nagrody przydziału pszennego chleba i podwójnej porcji masła.

Z rozkosznych marzeń wyrwało go wejście sekretarza z pocztą. Wprawny wzrok wyszukał odrazu przesyłkę z pieczęcią osobistej kancelarii wodza. Sprężył się w duchu na baczność i rozerwał kopertę. Rozkaz był jak zwykle krótki i jasny ale gauleiter zamiast wezwać sekretarza, długo i frasobliwie drapał się po głowie. Rozkaz brzmiał tak:

„W dążeniu do podniesienia niewystarczającego często poziomu wiedzy ogólnej członków partii zarządzam: odbycie przez wszystkich członków kursów uzupełniających w zakresie uniwersyteckim. Kursy prowadzić będą pewniejsi moralnie i ideowo profesorowie uniwersyteccy. Zalecam ostrożność w przyjmowaniu wiadomości nie stojących w zgodzie z oficjalnie uznanymi poglądami. Wiedzę waszą spożytkujcie dla dobra kraju i wodza". Następował podpis i pieczęć.

— Dla ciebie wodzu, będę się nawet — uczył! żałośnie westchnął Himmelmauer.

Wielka sala miejscowego uniwersytetu wypełniona była po brzegi członkami partii. Na ścianach wśród emblematów partyjnych widać było napisy: „Wódz tak chce!" Z katedry przemawiali coraz to inni profesorowie, rzucając w milczący tłum tzw. ziarno wiedzy.

...Kurs trwał już drugi tydzień. Gauleiter Himmelmauer siedział na wysuniętym naprzód fotelu i drzemał. Nagle jedna z niekarnych much siadła mu na nos. Strzepnął ją niecierpliwym ruchem ręki i rozbudzony usłyszał słowa siwego profesora biologi: „...zasadniczą cechą jest chitynowy szkielet zewnętrzny. Jest to jakgdyby twardy pancerz, okrywający całe ciało. Szkielet zewnętrzny nie pozwala na wzrost, to też a r t h r o p o d a od czasu do czasu linieją, tj. zrzucają pancerz chitynowy, wytwarzając nowy, większy".

— Stać!

Profesor zwrócił na salę przerażony wzrok. Głos gauleitera!

— Ekscelencjo?

— Coś pan powiedział?

— Mówiłem o a r t h r o p o d a, członkonogach. To takie owady...

— Wiem! Nie potrzebujecie mi tego tłumaczyć. Chcę wiedzieć, co mówiliście o tym tam — pancerzu chitynowym. Co ten owad z nim robi po zrzuceniu?

---

wym chociaż, ale głębszym poznaniu jego istoty. Dotychczas — zwyczajem wszystkich młodych i najmłodszych — braliśmy wojsko z tej zewnętrznej, błyszczącej często, ale nie najważniejszej strony. Defilujące kolumny, najeżone bagnetami, z wodzem na białym koniu, przemawiały do nas silniej niż nurzany wbłocie, strudzony piechur.

Trzeba było dopiero osobiście wleść w kałużę na placu ćwiczeń, odczuć jakąś niedoznaną radość po wyrzuceniu półkilometrowym natarciu nieistniejącego „enpla" z nieistniejących stanowisk, z radosnym biciem serca obejrzeć podziurawioną celnymi strzałami własną tarczę i zwalić się z satysfakcją na trawę po półdniowych ćwiczeniach.

W poćwiczeniowych medytacjach odkryliśmy wtedy, gdy trud i spiekota rozlewały bezwład po członkach, że istota wojska leży w tym właśnie trudzie, a żołnierz tym tylko różni się od junaka, że tapla się w błocie nie raz na tydzień, ale co dzień.

I odtąd razem z poszanowaniem pracy żołnierskiej pojawiło się pewne — powiedziałbym — lekceważenie wojskowego blasku, a zamiast zwyczajnej radości, właściwej cywilom, poczęliśmy odczuwać rodzaj fachowego uznania na widok sprawnie wykonanego chwytu, marsowej postawy i grzmiącego kroku defilady. Nauczyliśmy się dostrzegać trud dowódcy i żołnierza, który był dla nas do tej pory albo niewidoczny, albo niezrozumiały.

I odtąd przestaliśmy oczekiwać od wojska błyszczących guzików i ostróg, a zwróciliśmy uwagę na rzeczy głębsze.

Sądzę, że to właśnie przysposobienie moralne, którego stopnia nie można ocenić na żadnym egzaminie, jest znacznie ważniejsze od przysposobienia fizycznego i technicznego. Sprawny chwyt nie decyduje o losach bitwy, które zależą od nastawienia moralnego, owego „morale", o którym mówił Wielki Marszałek.

T. S.

— Nie zajmowałem się tym. Ale przypuszczam, że nic. Porzuca go, bo jest mu za mały i wytwarza sobie inny.

— Wobec tego polecam panu zbadać tę sprawę dokładnie i zdać mi w przeciągu 24 godzin szczegółowy raport. To jest wiadomość o znaczeniu państwowym. Odmaszerować!

Siwy uczony wyniósł się pospiesznie.

Raport, dostarczony przez niego w 24 godziny później Himmelmauerowi, potwierdził jego najgorsze przypuszczenia. Okazało się bowiem, że wzmiankowane a r t h r o p o d a z karygodną lekkomyślnnością porzucają za mały wprawdzie, ale będący w zupełnie jeszcze dobrym stanie pancerz chitynowy. Na pytanie, jaki użytek można zrobić z takiego pancerza, uczony nie potrafił dać ścisłej odpowiedzi, tłumacząc się, że doświadczeń w tym kierunku jeszcze nie robiono, że ich ewentualne dokonanie wymagałoby wielkiej ilości chityny. Na to Himmelmauer oświadczył, że zarządzi zbiórkę pancerzy chitynowych do badań, którą zajmie się młodzież szkolna „zamiast bezsensownej nauki“, a rzeczą wydziału przyrodniczego miejscowego uniwersytetu będzie zbadanie ich przydatności do celów wzmocnienia pogotowia militarnego kraju. Konferencję zakończył gauleiter uwagą, że dotychczasowe zaniedbania w tym kierunku świadczą dobitnie o stagnacji krajowej nauki, którą wytłumaczyć można jedynie chęcią sabotowania poczynań partii.

— Jeśli doświadczenia z chityną nie dadzą pozytywnego wyniku, będę to musiał wyjaśnić sobie w sposób ten sam — zakonkludował.

Akcja zbierania porzuconych pancerzy chitynowych została przeprowadzona sprężyście. Tego samego dnia wyruszyły w okoliczne lasy uzbrojone w lupy i mikroskopy specjalne oddziały młodzieży. Wszyscy wolni od pracy członkowie partii zamiast na spacer, poszli szukać liniejących karaczanów i chrabąszczy. Obowiązywał zakaz zabijania wszelkich członkonogów, nawet dla dyzynfekcji. Każdy osobnik z rodzaju a r t h r o p o d a został poddany surowej kontroli, otrzymał oznaczenie i był wciągnięty do ewidencji. Powołano specjalistów statystyków, mających na podstawie ścisłych obliczeń i pomiarów ustalić, którzy z członkonogów wytwarza w jak najkrótszym czasie jak najwięcej chityny. Lekarze weterynarii ułożyli najbardziej dla każdego gatunku odpowiednią dietę, której ściśle przestrzegano.

Przy końcu tygodnia otrzymał wydział przyrodniczy miejscowego uniwersytetu pierwszy kwintal chityny, posegregowanej według gatunków, z poleceniem przeprowadzenia badań w jak najszybszym tempie. „Kraj oczekuje po was, że zasłonicie go pancerzem z chityny“ — kończył swój list gauleiter Himmelmauer. Profesorów ogarnęła rozpacz. Po kilku dniach beznadziejnych prób, gdy z chityny nie udało się otrzymać nawet pasty do zębów, położenie poczęło być tragicznie. Tymczasem zapasy rosły i w laboratorium leżały już dwie tony starannie posegregowanej i ułożonej chityny.

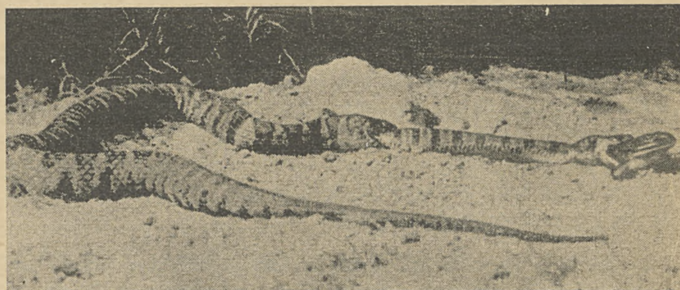
...Wtedy to w głowie jednego z asystentów narodził się ów zbawienny projekt, który sprowadził w konsekwencji chleb pszenny i masło na stół gauleitera a uczonych uchronił od obozu koncentracyjnego. Młody ów uczony zaproponował mianowicie, aby zrezygnować z bezsensownej pracy, a sprawę załatwić przez sprowadzenie z jakiejś, dostatecznie odległej stalowni — płyty pancernej. Projekt został przyjęty z entuzjazmem i natychmiast przystąpiono do jego urzeczywistnienia.

W tydzień później ulice miasta zostały przystrojone odświętnie, a na tle symbolów partyjnych wypisano złotymi głoskami hasła dnia: „Nikt nam nie zrobi nic, nikt nam nie weźmie nic, bo z nami pancerz z chityny“. „A r t h r o p o d a swemu krajowi“. „Pancerz z chityny gwarancją naszej potęgi“, „Żadna kula jeszcze nie przebiła pancerza z chityny“.

Rynek zajęli członkowie partii z władzami na czele, skromnie z boku stanął senat uniwersytetu. Całość otaczała policja. Na podwyższeniu spoczywała kilkucentymetrowej grubości płyta pancerza. Na mównicę wystąpił gauleiter. Mówił krótko i treściwie. Profesorów zwymyślał mniej, niż zwykle, zbeształ ich tylko za rozrzutność mówiąc, że „ani jeden karaluch i ani jeden rak nie powinien na próżno pracować nad wytworzeniem swego pancerza“. Wyraził uznanie dla młodzieży szkolnej i członków partii. Na zakończenie, postawiwszy wszystkich na baczność, odczytał telegram wodza, który brzmiał: „Himmelmauer, nigdy panu tego nie zapomnę. Wódz“. Następnie odbyła się defilada, którą otwierał czołg. Za nim szli profesorowie uniwersytetu. Dalej defilował pluton hodowlany z klatkami i wannami, pełnymi raków.

W ten sposób gauleiter Himmelmauer doczekał się pszennego chleba i masła, a kraj — pancerza z chityny. Dzięki temu ostatniemu świetnie poczęła również prosperować... pewna odległa i mało znana stalownia.

Idylla maleńka taka...



Mała żmija zjada jeszcze mniejszą żabkę. Wielka żmija pożera obie razem. Tak bywa w przyrodzie i... nie tylko w przyrodzie.



CZESŁAW DOMARADZKI.

Z cyklu:

WIERSZE WAKACYJNE

WYCIECZKA

Chcę lux-torpedą wyjechać na księżyc
Zgubić się w mlecznych mgławic stratosferze
Nie chcę się więcej tlenem ziemi męczyć —
Lepiej zedrzeć z niebios planet cynowe talerze.

Z Marsa-węzłówki zatelegrafować: jestem zdrów stop
Zaraz jadę dalej — gonić w eterze zagubione słowa
I śmigłem w tunel międzygwiezdny walić,

Jeśli meteor zastąpi mi drogę lub gdy w mgławicy
wpadnę lepkie błoto
Ze spadochronem skoczę przez okno ku ziemi
polerowanej złotem.
Konstelacje po drodze zaczepię okrzykiem,
przebiegnę się po zodiaku
Dwie komety wyminę — ja, tramp błękitny,
pan szlaku,

Pali me oczy zórz polarnych fosfór wpoprzek
mej drogi się jarzący
Na drodze purpurowy potwór — SKOCZĘ
W SŁOŃCE.

PAMIĘTAJ!

„Obóz — najpiękniejszy sen młodości...“



ROZMOWA Z FIEDLEREM.

Przyjechałeś tu z nad Amazonki, z Ukajali, z pam-
pasów Chili
Imię Twe pachnie kawą i herwą, maniokiem i ma-
nillą.

Siedzisz teraz w Ziemiańskiej przy głupiej półczar-
nej
Oczyma sączysz z gazety opis Andreego wyprawy
polarnej.

Za oknem, w ramie szyby leży sześć mórg placu
Ty cedzisz słowo po słowie: egzotyka kipi w strze-
lających palcach.

Mówisz, tak, jak przed rokiem — wtedy w bydgo-
skim tramwaju
O lasach, selwach, ranchach — o tym, że ciasno w
kraju.

Na marmurowej desce liczysz: uczucia, pieniądze,
czas:
„— paszport muszę wykupić, dwa nowe namioty,
tropikalny kask...“

Zaraz wyjdziemy — Ty pójdziesz po korektę do
drukarni.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Za pięć lub dziesięć lat spotkamy się przy pół czar-
nej.

POCHWAŁA WŁÓCZĘGI.

O wieczna i obleśna nudo codziennych postojów
Na rogatce m. Łodzi — albo w Rozwadowie — —
O idiotycznie smętna nudo filmowych przebojów
W Bochni, Łodzi, Koluszkach i Stanisławowie.

Może Cygan — król trampów kędyś się zatrzymał,
By kramik koczowniczy rozbić na rozstajach —
Pójdźmy jego synowie: przyjaciele Kima,
Odwieczni tropiciele losu urodzaju.

Siądziemy przy ognisku o księżyca nowiu
Opowieści ze szlaku z dymem będziem cedzić
My: następcy Kiplinga, Grey Owl'a i Cook'a,
Tropiciele murmańskich, polarnych niedźwiedzi.

Reiser - bractwo z Powiśla i brankardu rodem,
Turyści bez biletów, paszportów i szyfkart
Pojeni wodą rzeczną, dokarmiani głodem — —
Trzech malarzy, poeta, fotograf i steward.

Umówimy spotkanie na najstarszym szlaku
Tam gdzie niema constabli, przepisów, „Orbisów“
Przycumujemy w gwiazdach na Kolumba wraku
Przyjaciele zbłąkanych bengalskich tygrysów. —



Napisał Wiesław Kalinowski

WOJNA I NAUKA

Żołnierze w kombinezonach i kitlach.

Wojna, to okres bardzo intensywnej pracy dla fachowców wszelkiego rodzaju. Nigdzie może tak ostro jak tu nie zarysowuje się potrzeba wielkich zapasów wiedzy i to zarówno teoretycznej jak i praktycznej — nigdy może siły fachowe nie są tak wysoko szacowane jak w czasie wojny i w okresie bezpośrednio ją poprzedzającym. Od polonisty i historyka do kowala i tokarza każdy ma bardzo określone zadania do spełnienia, każdy jest za coś odpowiedzialny, każdy może okazać cały zasób swoich możliwości. Trzeba tylko umieć i chcieć pracować. Wojna to okres życia gospodarczego „na kredyt". Zakumulowane siły narodu zmuszone zostają do podjęcia ogromnego wysiłku, do wykonania prac gigantycznych, za które przez dziesiątki lat potem płacić będzie strona zwyciężona. W tych chwilach zrywu każda jednostka wydobywająca z siebie maksimum dzielności, to równowartość żołnierza a czasem i dziesiątków zbrojnych w stal bojowników, to krok naprzód ku zwycięstwu. Do takiego zrywu, do takiego wysiłku zawsze byliśmy i zawsze będziemy gotowi, lecz to nie jest wszystko, czego naród od nas wymaga i oczekuje. Komu dużo dano, od tego wiele trzeba wymagać. My otrzymujemy największy skarb pod słońcem — w i e d z ę. Trzeba dobrze pamiętać o tym, że służyć ojczyźnie nie tylko ciałem naszym i duchem, lecz i mózgiem musimy. W życiu obierzemy sobie różne zawody, lecz jakiekolwiek one będą zawsze przed oczyma naszymi stać będzie **obowiązek żołnierza,** wszystko jedno czy odzianego w mundur, lub kitel, kombinezon roboczy czy surdut profesora — obowiązek żołnierza, fundament dla dwóch granitowych słupów — Honoru i Potęgi Państwa.

Zręby potęgi.

Pamiętajmy, że niezawodny lot stalowych granatów, to **matematyka** we wszystkich jej odmianach, że żółtawe kłęby śmiercionośnych gazów to **chemia** i **farmacja,** cudowne mechanizmy nowoczesnej broni, to długie i ciężkie studia **inżynieryjne.** Pod szarym mundurem żołnierza bije gorące serce, ale tyle on wie o wielkiej i pełnej chwały przeszłości naszego narodu, tyle cenić potrafi skarby jego kultury, ile go kiedyś **historyk** i **polonista** do przeszłości tej i kultury zbliżyć potrafili. Jeśli w ten sposób do pracy naszej podchodzić będziemy, stworzymy najpewniejsze i najtrwalsze zręby potęgi militarnej naszego państwa, — zręby najtrwalsze, bo sięgające aż do głębi duszy każdego obywatela, każdego żołnierza, — zręby najpotężniejsze, bo na solidnej, uczciwej pracy ugruntowane.

Gdy wojsko działa...

Nasza praca dopiero za lat parę się zacznie. Sytuacja wymaga gotowości już dziś, już teraz. To dziś należy jeszcze do pokolenia o lat 10—20 starszego. O dziś możemy być spokojni. Nie jesteśmy krzykaczami, nie mamy kultu dla świecidełek i frazesów — ale **pracować potrafimy.** To, co inni robią z hasłem i wrzawą, z reklamą i butą, my wykonujemy po cichu lecz pewnie. Straszyć nikogo nie chcemy, porad sąsiadom — prócz tych o nosie i trzosie — także udzielać nie jest naszym zwyczajem. Więc też więcej uwagi poświęcić możemy samej robocie. A robota to lubi. Jeśli się u nas o czymś powie: wojsko się tym zajęło — kwestia odrazu przestaje podlegać dyskusji. Słowa te są równoznaczne z twierdzeniem: robota będzie zrobiona dobrze i uczciwie.

Wiemy dobrze, że w słowach tych nie ma przesady. Tak wielkiego i tak ugruntowanego na faktach zaufania, jakim się cieszy u nas armia i wszystko co z pracą jej jest związane, świat cały może nam zazdrościć. K a ż d y b e z w a h a n i a s i e b i e i w s z y s t k o s w o j e z z a m k n i ę t y m i o c z a m i o d d a ł b y w r ę c e w o j s k a, p e w n y, ż e a n i ź d ź b ł o u r o n i o n e n i z m a r n o w a n e n i e b ę d z i e — b o t o j e s t a r m i a p o l s k a!

(dok. na str. 11)

Janusz Stępowski.

PIONIER OCEANU

Prawdziwym patriotycznym przedstawicielem naszego pionierstwa morsko-kolonialnego, był Adam Mierosławski. Postać to całkiem u nas zapomniana. A niesłusznie. Przedstawia ona bowiem nieprzeciętne wartości. Życie Adama Mierosławskiego, to gotowy scenariusz filmowy, pełen ciekawych przygód i interesujących zdarzeń.

Adam Mierosławski był rodzonym bratem Ludwika, znanego bojownika rewolucyjnego, wsławionego w naszych powstaniach 1846 i 1863 r. Po upadku powstania listopadowego wyruszyli obaj na emigrację do Francji. Byli wtedy bardzo młodzi. Adam o rok młodszy, miał wtedy lat zaledwie 16-cie. Jednakże już przeszedł chrzest ognia, jako ochotnik w wojsku polskim. Za waleczność został nawet odznaczony srebrnym krzyżem. W drugim dniu bitwy warszawskiej, ciężko ranny, cudem ocalał od śmierci na szańcach Woli.

Przybywszy do Strasburga, dostał się tu młody, wymizerowany chłopiec w ręce dobrych ludzi, którzy wyrobili mu posadę kancelisty. Ale Adam Mierosławski nie o takiej marzył karierze. Odezwał się w nim pociąg do morza. Kierowała nim niewątpliwie żądza przygód. Ale też nieodstępowała go i myśl o Polsce. Wierząc w rychłe wyzwolenie Ojczyzny, pragnął jej przynieść w ofierze plon swego żeglarskiego życia: — lądy nieznane, odkryte przez siebie w tajemniczych, urocznych przestrzeniach mórz i oceanów. Pożegnawszy tedy w Strasburgu brata swego, Ludwika, od którego wybłagał metrykę, aby sobie dodać rok więcej do swoich szesnastu lat, wyruszył do portu Nantes — na podbój świata. Niestety nikt tu z nim ani gadać nie chciał. Przez trzy miesiące, daremnie naprzykrzał się różnym kapitanom kupieckich statków. Ostatecznie, ledwie go z łaski przyjęto na chłopca okrętowego.

Któż mógł się spodziewać, że z chudego malca wyrośnie po kilku latach tęgi, sławny kapitan. I on sam doznał na wstępie samych rozczarowań. Już w pierwszej podróży swojej, która go trafem odrazu na Ocean Indyjski powiała, najadł się do syta ciężkiej biedy i bolesnych drwin, nie szczędzonych mu przez załogę. Ale wytrwał. Wytrwał przy żmudnej pracy w dusznej ładowni handlowego statku, gdzie trzeba było z szuflą w ręku przesypywać pieprz zielony, gdy tymczasem febra kosiła w koło niego najsilniejszych marynarzy. Wytrwał i potem, jako ochotnik, w trwałej służbie na francuskich okrętach wojennych: „Algeciras“ i „Courrier de Bourbon“.

W dalekich podróżach zwiedził wówczas Mierosławski Zatokę Meksykańską i kolorowe lądy Afryki, a zaprawiając się w żeglarskiej służbie, z roku na rok, coraz wyżej awansował. Musiał też istotnie, jako marynarz, wykazać nieprzeciętne zdolności, skoro już w 25 roku życia jeden z armatorów powierzył mu swój statek handlowy. Stało się to znów w regionach Oceanu Indyjskiego, a mianowicie na Wyspach Burbońskich, znanych dziś pod nazwą Réunion. Wyspy te pozostały odtąd dla młodego kapitana głównym punktem oparcia.

Stąd wyruszał on na wyprawy handlowe z towarem. Zdobył zaś wkrótce niemałą sławę wychodząc szczęśliwie z niejednej obławy, czynionej na jego statek przez malajskich piratów.

Po pewnym czasie wrócił Mierosławski do Francji, aby złożyć egzamin i uzyskać formalny dyplom kapitana dalekich podróży. Odtąd, na własną już rękę podejmuje na Oceanie Indyjskim żeglarskie wyprawy. Tutaj wreszcie w 1843 r., spełniły się jego najśmielsze marzenia. Oto, w jednej z swych podróży, 28-letni kapitan Mierosławski, dowodząc wówczas własnym statkiem, natknął się nagle na dwie wyspy, nie oznaczone na żadnej mapie. Poprostu zapomniano o nich. Kiedyś trzy lata temu, byli na tych wyspach Holendrzy, ale nie umieli ustalić ich geograficznego położenia. Nikt do nich odtąd nie zawijał. Były bezpańskie, niczyje. Nazwano je kiedyś: Saint Paul i Amsterdam.

Adam Mierosławski, jako kapitan francuski, zatknął na nich sztandar Francji, ale wyspy, jako takie, stały się jego własnością. Dopiero głośna wiadomość o tym odkryciu i uwłaszczeniu, poruszyła Anglików, uważających się za władców całego Oceanu Indyjskiego. Jednakże Mierosławski ani myślał odstąpić swojej zdobyczy. Odezwała się w nim wówczas duma Polaka. Gdy go nagabywano, odpowiedział dosłownie.

„Raz zatkniętego na tych wyspach sztandaru Francji, nie zwinę. Jeżeli zaś ktobądź spróbuje użyć przeciwko mnie siły, natenczas na obu wyspach wywieszę polską flagę i pod nią dam się zagrzebać“... Zwyciężyła stanowczość Mierosławskiego. Wyspy zostały przy nim.

W miarę dalszych lat, coraz bardziej tęsknił Mierosławski za wiadomościami z Polski. Myśl o kraju, uciemiężonym w niewoli, nie dawała mu spokoju. Niecierpliwie czekał na wybuch nowego powstania. Toteż gdy w 1846 r., podczas jednej z podróży na szlaku australijskim, wpadła mu w ręce jakaś zapóźniona gazeta, donosząca o polskim powstaniu w Poznańskim i Krakowskim, na czele którego stanął wtedy jego brat, Ludwik, Adam Mierosławski nie zawahał się ani chwili. Sprzedał część wyspy Saint Paul, aby pieniędzmi wesprzeć ruch wolnościowy w ojczyźnie. Sam też pośpieszył odrazu na pole walki.

Przybył jednak za późno. W międzyczasie, powstanie polskie zostało zdławione przez przemoc zaborców. Mimo to Adam Mierosławski wraz z swoim bratem Ludwikiem, spotkawszy się w Paryżu, postanowili dalej walczyć, tym razem za niepodległość innych narodów Europy, — w myśl hasła: „Za naszą i za waszą wolność“.

Historia upamiętniła wybitny ich udział w walkach powstańczych na Sycylii, a następnie w Badenii. Kiedy z kolei wybuchło powstanie na Węgrzech, Adam Mierosławski uplanował śmiałą wyprawę morską z Francji do brzegów Dalmacji, aby dostarczyć ochotników i broni generałowi Bemowi, bohatero-

(Dalszy ciąg na str. 15-tej)

Do wakacyjnego tornistra...

NAJPIĘKNIEJSZE KSIĄŻKI

ZIEMIA GROMADZI PROCHY

Józef Kisielewski w książce tej podejmuje walkę z „wielką zmową", jaką uknuli uczeni niemieccy, będący w służbie politycznej propagandy tego narodu, który oddawna na wschodzie widział nowe „tereny osiedleńcze", a z „Drang nach Osten" uczynił hasło sztandarowe i pod sugestią tego hasła wychowuje dorastające pokolenie III Rzeszy.

Książka Kisielewskiego jest owocem paromiesięcznej podróży po Niemczech w tym okresie, kiedy świat wierzył jeszcze w pokojowe zapewnienia Hitlera. Plan książki pomyślany — pierwotnie w chwili wyjazdu do III Rzeszy, jedynie jako reportaż ze współczesnych Niemiec, w wyniku faktów, na które natrafił autor w czasie podróży, musiał ulec zmianie.

„Pewnego bowiem dnia — pisze Kisielewski — stało mi się jasne, że wjeżdżając w granice Niemiec, wkracza się w sam środek sprawy, nad której wydęciem pracują tam setki mózgów, płuc i rąk, a która jest zwrócona przeciw Słowiańszczyźnie".

Kisielewski jest pierwszym, który w oparciu o naukowy materiał historyczny zdemaskował w formie literackiej tę wielką zmowę uczonych niemieckich, jaka powstała dokoła „Drang nach Osten". Głębokie i trafne obserwacje, poczynione w czasie podróży, a pogłębione starannymi studiami historycznymi, jak również przewertowanie wielu niemieckich wydawnictw propagandowo-politycznych pozwoliły autorowi odtworzyć epopeę Słowiańszczyzny zachodniej, zmagającej się od wieków z germańskim najeźdźcą. Gdy sięgnąć ręką pod powierzchnię ziemi między Łabą a Wisłą na każdym kroku spotykamy ślady starej kultury łużyckiej, będącej matką k u l t u r y s ł o w i a ń s k i e j. Prehistoryczna osada w Biskupinie nie jest wynikiem odosobnionym. Podobne wykopaliska można by znaleść n a c a ł y m t e r y t o r i u m d z i s i e j s z y c h N i e m i e c, aż po Łabę sięgając. Wszystkie prace wykopaliskowe dowodzą, że prehistoryczna kultura naszych słowiańskich przodków była wielką i wspaniałą kulturą osiadłych ludów rolniczych. Z kultury tej czerpały i wzorowały się na niej plemiona najeźdźców germańskich.

Nauka niemiecka starannie ukrywa wszelkie ślady słowiańskie na ziemiach niemieckich, starając się stworzyć równocześnie jak najgrubszą nawierzchnię teoryj i pod zwaliskiem wielu ton makulatury pseudo-naukowej i propagandowo-politycznej ukryć prawdę historyczną, a rozpowszechnić inną „prawdę", uzasadniającą posiadanie ziem słowiańskich, które jeszcze po dziś dzień zamieszkują w liczbie 200 tysięcy Łużyczanie w odległości... 75 km od Berlina!

Bohaterski epos Serbołużyczan, Pomorza i Kaszubów trwa; trwa po dziś dzień tuż za naszą zachodnią granicą. To już nie jest historia. To aktualna rzeczywistość; krwawiąca rana półtoramilionowej ludności polskiej, którą narodowy socjalizm chce pochłonąć jak najprędzej. W trakcie rozważań Kisielewski dochodzi do wniosku, że nadchodzą nowe, lepsze dla Słowiańszczyzny czasy. Czasy dawnej słowiańskiej świetności.

W obliczu nadchodzącej koniunktury autor zwraca wzrok ku polskiemu żołnierzowi. Książkę zamyka wielka fotografia żołnierza polskiego, przysięgającego na sztandar.

MELCHIOR WAŃKOWICZ — SZTAFETA

Książka pełna dziwów — i to dziwów tym większych, że dziejących się na naszych oczach, jakże często wyrastających nam z pod rąk — dziwów, na które dotychczas nie umieliśmy patrzeć, a co gorsza radować się nimi, czerpać z nich natchnienie do dalszych wysiłków. „...Nauczyć nas szacunku dla nas samych, ukrócić plotkę, zwiększyć siły dośrodkowe... rozproszyć mgłę nieświadomości w której obtłukują się ludzie między hurra patriotyzmem a kompleksem niższości" — oto zadanie jakie wyznaczył autor swojej „Sztafecie".

Rozpoczyna się ten epos walki o wielkość gospodarczą — symboliczną cytacją z Pisma Św.: „Byłem umarły, a otom jest żywy na wieki wieków Amen"; a potem idą zdjęcia spalonej chałupy, rozwalonych parawozów, zniszczonych mostów, zrujnowanych fabryk — oto dziedzictwo, na jakim rozpoczynaliśmy gospodarkę. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych urzędowało w czterech pokojach. Cały naród w trepkach drewnianych chodził i ubierał się w szatki z pledów wojackich spartolone. Pułk miał do dyspozycji tyle typów karabinów, ilu żołnierzy. Nadomiar złego przez 60-cio km. kordon sanitarny zorganizowany wzdłuż całej granicy rosyjskiej lada chwila mogło wtargnąć widmo czarnej śmierci — cholery, ukryte w łachmanach choćby tylko jednego z wielotysięcznej rzeszy uchodźców.

Tak Polska zaczęła stawiać pierwsze kroki. „W ciągu pierwszych dwóch lat tylko na odbudowę budynków poszły sumy trzykroć przewyższające roczny budżet państwa... 800 klm. prowizorycznych linij kolejowych przebudowano na tor stały, zbudowano nowych 900 klm., liczbę odziedziczonych 33.000 wagonów zwiększono do 141.000... „i tak na każdym kroku, wszędzie na ziemi, pod ziemią, na wodzie i w powietrzu"... Kiedy po 10 latach stanęła na 60-ciu hektarach w bogactwie pawilonów Powszechna Wystawa Krajowa „jedna z największych wystaw światowych XX w." (wg. słów niemieckiego publicysty Alberta Gottlieba) — dopiero wówczas zobaczyliśmy, że na wszystkich polach dogoniliśmy przedwojenny stan, a na wielu polach przegoniliśmy"...

Nadeszło drugie dziesięciolecie, znaczone morskim godłem Gdyni i „startem C.O.P.-u..." Pisze Wańkowicz jak to „na operację" budowy potężnego gazociągu pod Roztok „patrzy dom Długosza, śpichrze Kazimierza", albo o tym jak to „Dunajcowi zabiegł drogę inżynier", tamy wali w Rożnowie, i tylko patrzeć, jak do samej Wisełki się dobierze, wyreguluje, wysztyftuje, aby jak w zegarku galary i statki składnie po nich pływać mogły.

Dziwy o „oponie z kartofla", o „stalowej woli", o sztafecie dziejów z „Polski leśnej i polnej w Polskę zbrojną i przemysłową" przenoszą nas w kraj cudu gdyńskiego, gdzie „na płachetku piaszczystych puścieli" wyrósł nam pierwszy port Bałtyku (a wszędzie fotografie, cyfry, cytaty), gdzie się rodzi Polska Morska, tworzy polski sen o koloniach, sen, który jak „sen o szpadzie" musi się ziścić! Woła o to pół miliona przybywających rok rocznie głodnych polskich gardzieli, woła o to prawo głodu!

Kończy swą książkę Wańkowicz „fanfarą zaolzańską", wygraną na trąbach orkiestr pułków gen. Bortnowskiego, wyłkaną i wyśpiewaną przez tysiące Polaków, wybitą rytmicznie przez młoty Trzyńca, Karwiny...

Na tle pomnika Legionistów w Cieszynie przesuwa się szereg żołnierski. „...Minęło dwadzieścia lat — państwo skrzepło, stanęło na międzynarodowej arenie". Jakże szybko idą lata! Już nas w swój rytm wzięło drugie dwudziestolecie niepodległości.

Za nowych dwadzieścia lat znowu spojrzymy wstecz. Pamiętajmy, że ujrzymy wówczas swój **dzisiejszy powszedni dzień.** Oby — opromieniony chwałą.

Wł. Gutekunst

Z wyd. Licealnej Biblioteczki Filozoficznej

ODWAGA I STRACH

Dr. Jan Pieter (C.I.W.F.) opracował interesujące studia na temat odwagi i strachu. Poziom tych prac przeznaczony dla młodzieży licealnej, a w pierwszym rzędzie dla hufców p. w. nie różni się wcale od dobrego poziomu popularyzatorskiego.

Autor stoi na słusznym stanowisku, że odwaga jest podstawą zdrowego psychicznie charakteru. Natomiast lęk to niebezpieczny wróg **wewnętrzny,** i aby go zwalczyć, trzeba go wpierw poznać. Lęku nie należy utożsamiać z przestrachem. Strach w **chwili** niebezpieczeństwa ma swój sens biologiczny, jest funkcją instynktu samozachowawczego. Przez fizjologiczną „mobilizację" organizmu wzmaga on niekiedy siły obronne. Wtedy mianowicie, gdy w parze ze strachem idzie **wola odwagi** i walki. „Nie ma bowiem odwagi bez strachu, istnieje natomiast strach bez odwagi". Innym zupełnie zjawiskiem jest lęk, czyli strach wobec sytuacji pomyślanych, **wyobrażonych.** Hamuje on i obezwładnia psychicznie, wytwarzając w człowieku postawę **zależności,** bierności i posłuchu. Lęk posiada również niekiedy formy anormalne. Takim jest np. ustawiczny, chorobliwy lęk wobec sytuacji **niewiadomej.** „Bakcyl takiego lęku to jeden z najgroźniejszych wrogów duszy". Do tego rzędu zjawisk psycho-społecznych należy także **panika.** Okrzyk trwogi rzucony w zmęczony tłum może nieraz wywołać masową „zarazę strachu". Taka chroniczna infekcja strachu grozi nieraz całemu społeczeństwu, jeśli nie zostało ono dostatecznie przeciw niej uodpornione. Takim środkiem przeciwdziałającym jest nieraz słowo, którym „równie łatwo strachy wywołać jak i rozpraszać". Gromki okrzyk czy dowcip puszczony w obieg może nieraz przeobrazić lęk w zapamiętałą odwagę.

Odwaga, to — zdaniem autora — świadome przełamanie strachu. Polega ona na zwalczaniu „strasznych wyobrażeń", nieuleganiu **pozorom** siły przeciwnika oraz opanowaniu fizjologicznego aparatu strachu. Decydującym czynnikiem odwagi jest wiara w słuszność sprawy, dla której się walczy. Pośród licznych form odwagi wyróżnić można odwagę przez gniew („furor"), odwagę stoicką („raz kozie śmierć") i odwagę entuzjazmu („dla idei"), która zasługuje na miano prawdziwego bohaterstwa. Odwaga może przejść w przyzwyczajenie, stać się stałą dyspozycją duchową, być hartem i męstwem. Najlepszą „szkołą odwagi" jest zdaniem autora — wychowanie fizyczne, zwalczanie lęków niepotrzebnych i przyjemności namiastkowych, wyrabianie odwagi cywilnej i trzeźwej oceny niebezpieczeństwa. Najwyższe formy odwagi pojawiają się najczęściej w atmosferze **kultu idei i radości pracy i walki.** „W takiej postawie leży istotny hart ducha, hart człowieka kochającego czyn, cywilnie odważnego, bojowo nieustraszonego i mężnego".

Nie jest trafem, że zdanie końcowe wydaje się jakby wyjęte z innej publikacji, zasługującej również na wzmiankę. Jest to książeczka płk. K. Ryzińskiego p. t. „Człowiek charakteru i czynu". Autor traktuje zagadnienie charakteru od strony wymagań **wojska** oraz naszej sytuacji geopolitycznej i misji dziejowej. Domaga się on wytworzenia w Polsce „kultu charakteru", którego cechą jest odwaga inicjatywy i ryzyka, wola, wytrwałość itd. Charakter ten wyrabiać się powinien przede wszystkim na podstawie jasno sprecyzowanej **idei mocarstwowej ojczyzny** i w wysiłku pracy dla niej. Piętnując bierność i bojaźliwość jako chorobę społeczną w przeszłości, autor wskazuje na potrzebę „ruchu odrodzenia człowieka" w Polsce. Ruch ten konieczny jest przede wszystkim dla dobra armii. Bo, „jeśli charakter i czyn jest podstawowym warunkiem rozwoju w każdej dziedzinie życia narodu, to wojsko bez tych dwóch elementów jest bezsilne i bezwartościowe. Istota wojska — to decyzja i działanie, a decyzja — to charakter, działanie — to czyn".

LEGENDY WARSZAWY.

Gdy Warszawa, odzyskawszy pewność siebie stolicy wielkiego państwa, zaczyna szukać rodowodów swej chwały w starych murach — jaka książka może być bardziej na czasie niż „LEGENDY WARSZAWY" zebrane i opracowane przez E. Szelburg-Zarembinę i pięknie z drzeworytami S. Mrożewskiego wydane przez Gebethnera i Wolffa.

Spośród naszych podań i klechd, którym ich zbieracze, w myśl, pewnych przebrzmiałych teoryj, starali się nadać postać jak najbardziej skromną, „kmiecą" i odbarwioną, „LEGENDY WARSZAWY" wyróżniając się gwałtownym przepychem barw, potęgą opisywanych charakterów, demonizmem zdarzeń. Jest tych legend dziesięć a każda inna, odmiennym świeci blaskiem. Od zamierzchłych baśni pogańskich do legend z epoki stanisławowskiej, każda z nich utrzymana jest we właściwym stylu historycznym, a wszystkie razem dają jakby w świat fantastyczny rzucone dzieje wzrostu Warszawy. Rzetelne studia archiwalne i tradycje ludowe przetopiły się w baśniotwórczej wyobraźni autorki „Wędrówek Joanny", odzyskując całą swoją pierwotną świeżość i siłę.

Tragizm i humor, sentymentalna zaduma i zapał bojowy, groza niesamowitości i zaciekawienie wobec realiów — w tak szerokim kręgu obracają się wzruszenia czytelnika tej książki, który po jej przeczytaniu zupełnie inaczej będzie widzieć Warszawę: pogłębioną w perspektywie historycznej, owianą poezją, ufantastycznioną duchem przeszłości.

(dok. z str. 8)

My — przyszli naukowcy!

Ten wielki kapitał zaufania zawdzięcza nasza siła zbrojna nie tylko **duchowi** swemu ale i pracy licznych i dzielnych **fachowców.** Jedni z nich noszą mundury oficerskie, drudzy surduty zwykłych „cywilów", profesorów, docentów, inżynierów. Współpraca tych dwóch frontów jak najlepsze przynosi dziś rezultaty. Oczywista, że nie wszyscy w nich są objęci ramami organizacji wojskowej, tym nie mniej pole do współpracy stoi przed każdym — to jest przed **nami** właśnie otworem. Nasi poprzednicy spełniają swój obowiązek, tworzą przemysł wojskowy, przygotowują formy życia gospodarczego i społecznego do przetrwania ciężkich warunków wojennych. Naszym zadaniem będzie dalsza rozbudowa materialna i teoretyczna podstaw siły militarnej naszego państwa. Punktem naszej dumy i zdrowej ambicji powinno być **zdziesięciokrotnienie obecnego potencjału bojowego Polski,** oddanie wszystkich sił na usługi państwa. Na wszystko jesteśmy i będziemy gotowi: **jak wojna, to wojna** — ale zwycięzcami musimy być my!

ANGLICY

(Wyjątki ze szkicu A. Maurois)

...Anglicy skłonni są uważać, że w ich kraju wszystko jest lepsze niż w innych. Owa pewność siebie, owa ufność zbiorowa stanowi siłę bardzo cenną. Siła ta sprawia, że naród angielski, pewny swej wartości nie poszukuje zadowolenia dumy.

...Z tej dumy zbiorowej wypływa wielka skromność osobista. Anglik ma odrazę do wszelkiej jaskrawości i hałaśliwości.

...Anglik przez uprawianie sportów zdobywa cenne cnoty sportowe: karność, poszanowanie przepisów, uznawanie autorytetu arbitra, chęć rozegrania gry, które to cnoty od młodości wpajane są w jego duszę.

...Długa pomyślność sprawiła, że Anglicy nie są złymi ludźmi. Oczywiście zdarza się im, podobnie jak innym narodom, że postępują bezwzględnie, lecz nigdy przy tym nie lubują się w okrucieństwie. Narody, które nie wierzą w siebie, narody obarczone tzw. kompleksem niższości, czując potrzebę odwetu, są okrutne wobec słabych, żądne zadowolenia dumy, wiecznie nieufne. Naród angielski grzeszy raczej nadmiarem ufności. Zawsze gotów jest wyciągnąć rękę do pokonanego. Anglikom nie przychodzi na myśl, że powzięte zobowiązania mogą nie być dotrzymane.

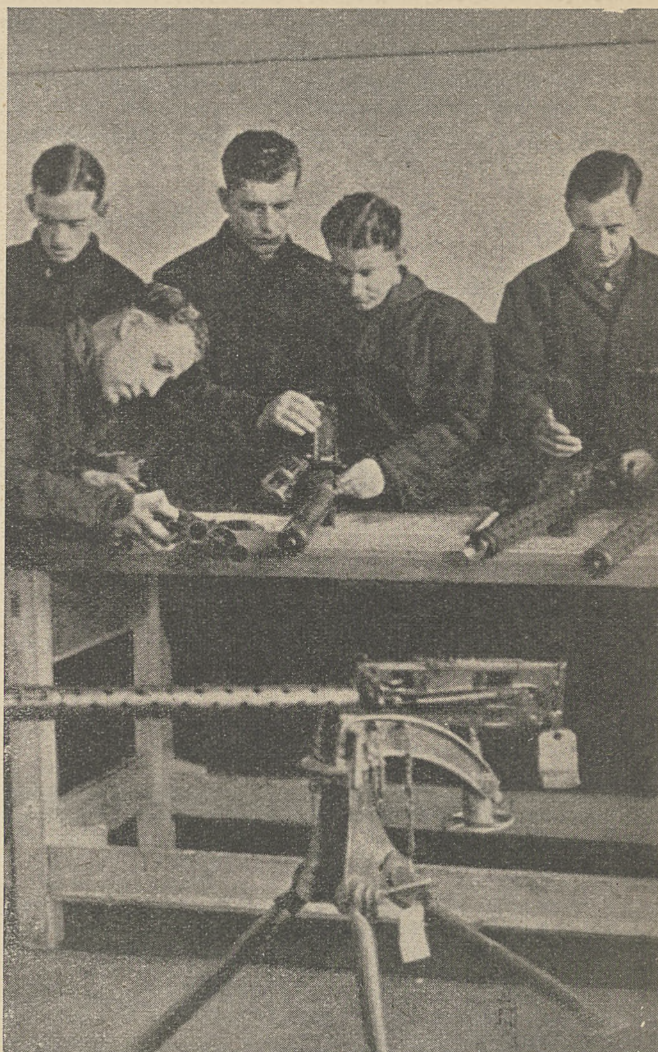
...Anglik kieruje się w życiu nie rozumowaniem lub planami, lecz nakazami chwili.

...Anglik szanuje reguły. Jest legalistą. Uważa się za bezwzględnie związanego literą układów, jakie podpisał. Z tego powodu długo waha się, zanim się do czegoć zobowiąże.

...„Lepiej jest — powiadal lord Balfour — zrobić głupstwo, które zawsze robiono, niż rzecz mądrą, której nie robiono nigdy".

... W Anglii władza najwyższa należy do opinii publicznej, potężniejszej w tym kraju niż w jakimkolwiek innym.

...Anglicy złożyli dowód wielkiej siły i wielkiej zręczności, wykazując giętkość i realizm w swych stosunkach z dominiami. Wielokrotnie poświęcili p o z o r y aby utrzymać t r e ś ć.



Kandydaci na „Mścicieli powietrza" w angielskiej szkole wojskowej studiują pilnie konstrukcję karabinu maszynowego.

Notatki szkolne

NASZ „SKŁADAK"

Zaczęło się od tego, że w szkole gruchnęła sensacyjna wiadomość: już wkrótce będziemy jeździli własnym samochodem. Samochód już się nawet robi. Trzeba oczywiście trochę poczekać no i... popracować. Wóz nie buduje się przecież w żadnej fabryce krajowej czy zagranicznej, tylko poprostu w suterynie szkolnej, przy warsztatach dla zajęć praktycznych. Grupa ochotników przychodzi codziennie popołudniu i majstruje w różnym żelastwie, zebranym, zniesionym skąd się dało. Postanowiła sobie, że z tego żelastwa wyjść musi pierwszy model nowego typu wozów: samochód — „składak" z różnych starych części automobilowych.

Z drobnych składek, z datków koła rodzicielskiego i dyrekcji szkoły zebrało się coś niecoś na zakup różnych ocalałych części po zużytych samochodach. Łaziliśmy po cmentarzach samochodowych w mieście, gdzie spoczywają szczątki starych limuzyn, taksówek i ciężarówek. Sporo tego „szmelcu" zniesiono do warsztatu, gdy nagle cały zamiar okazał się bliski urzeczywistnienia. Przedstawicielstwo jednej z firm samochodowych, ujęte zapałem młodych pionierów motoryzacji, ofiarowało potrzebne części samochodowe i — rzecz najważniejsza — silnik. Szkolny warsztat zajęć praktycznych wygląda teraz jak prawdziwa montownia. Na ścianach rozwieszone tajemnicze rysunki a pośrodku stoi na wzniesieniu rozpoczęte dzieło — szkielet podwozia. Coraz ktoś majstruje we wnętrzu, inni dyskutują fachowo, o hamulcach hydraulicznych i zsynchronizowanych biegach itp. Obcy wstęp „surowo wzbroniony", mimo to drzwi najczęściej nie zamykają się. Pracownia w suterynie jest przedmiotem ogólnego zainteresowania, a dzień, w którym w szkole zawarczy motor i prototyp samochodu zacznie kursować po dziedzińcu, będzie chyba najbardziej pamiętnym z pośród dni szkolnych. To też już zawczasu krąży w szkole z rąk do rąk aktualna książeczka: „Katechizm kierowcy".

BRONISŁAW WRONA (W-wa, lic.)

Kącik specjalistów...

Teodor Kotwicki (Łowicz, lic.)

JAK PATRZEĆ?

Jak patrzeć na obraz? Jak „podchodzić" do dzieła malarskiego, czego w nim szukać, co oglądać?

Większość patrzących szuka w obrazie przede wszystkim tematu. Jeżeli temat nie pociąga ich, jeżeli go nie rozumieją, przestają się nieraz obrazem interesować. Zainteresowania ich kończą się tam, gdzie rozpoczynają się dopiero malarskie zainteresowania twórcy.

Dalszym etapem oglądania obrazu jest nieraz „kontrola", czy barwa i kształt odpowiada rzeczywistości anatomicznej lub przyrodniczej. Czy twarz jest dostatecznie cielista, usta czerwone, niebo niebieskie itp. A przecie wiadomo, że tzw. barwa lokalna przedmiotów śród otwartej przestrzeni i w pełnym świetle słonecznym właściwie nie istnieje, istnieją natomiast barwy przestrzenne zależne od oświetlenia, i od refleksów rzucanych przez otaczające przedmioty. Więc np. cień będzie nieraz nie—czarny, jak się domaga laik, lecz niebieski, gdyż niebo rzuca refleks na wszystkie przedmioty, nieoświetlone bezpośrednio przez słońce.

Kontrola „wierności" obrazu przypomina stosunek do fotografii. Gdyby jednak istota malarstwa na tym polegała, to aparat fotograficzny w 99% zastąpiłby artystę. Aparatowi potrzeba tylko przecież ułamka sekundy tam, gdzie malarz ślęczy wiele dni, a nieraz miesięcy.

Porównajmy przeto dwa obrazy: „fotograficzny" i malarski. Na pierwszym odmalowany jest np. targ na konie i krowy — na drugim ten sam temat, wyrażony innym „językiem" — impresjonistycznym czy też ekspresjonistycznym itp. Na pierwszym koń jest jak żywy, krowa wprost porykuje, ludzie tacy szarzy, naturalni, codzienni, domy wykonane z wielką dokładnością, bardzo podobne i prawdziwe. Drugi obraz mieni się od kolorów, gra czerwienią, która przechodzi w fiolet, w zieleń, w całą rozpryskaną kaskadę barw, jakby kto rozbił banię z kolorami. Kończy człowiek ledwie na takim obrazie widoczny, zatraca się nieraz świadomość tematu, widzimy tylko układ i grę kolorów. Który obraz podoba się nam bardziej? To rzecz gustu. Ale — po cóż mamy oglądać prawdziwego konia na obrazie, jeśli możemy go z powodzeniem zobaczyć na targu. Malarz stawia sobie inne zadania, nie tylko odtwarzanie momentów realistycznych. O wartości obrazu stanowią: układ linii, brył, plam barwnych, świateł i cieni, czyli kompozycja i konstrukcja obrazu. T.zw. kubizm posunął się tu do zupełnego zerwania z modelem, a zajął się tylko konstrukcją, rytmiką, barwą, na marginesie tematów pomyślanych.

Widz współczesny domaga się od obrazu wrażeń estetycznych, chce, by się w nim coś na widok dzieła malarskiego „działo". Czy nie zdarzyło się nam— patrząc na prześwietlone słońcem liście, przy zielono-brązowej barwie kory, okolonej z obu stron błękitem nieba — odczuć jakąś radość w duszy? Nieraz nie rozumiemy przyczyn naszej radości. To zespół barw przy odpowiednim światłocieniu wpływa na nasze nastroje, inne nieraz o wschodzie, inne o zachodzie, o zmroku, we mgle itp.

Gdy do tej „psychologicznej" roli układu plam barwnych dodamy rolę układu linii, brył, którą nawet niektóre kierunki malarskie wysunęły na plan pierwszy zrozumiemy, jak duża, odrębna siła działania na psychikę przypada malarstwu. Działanie to jest natury estetyczno - emocjonalnej. Obraz musi wzruszać nas swym pięknem, a nie tylko interesować tematyką. Wtedy my szarzy ludzie stajemy bliżej sztuki, bez teorii, bez programów, bez szczególnego znawstwa. I to jest rola sztuki dla mas.

WYSTAWA ADAMA CHMIELOWSKIEGO W MUZEUM NARODOWYM

W tym roku minęła 50-ta rocznica założenia zgromadzenia Albertynów, którego twórcą był Adam Chmielowski, (1846 — 1916) powstaniec, opiekun sierot i malarz. Rocznicę tę uczczono zorganizowaniem wystawy Brata Alberta w Muzeum Narodowym. Szkoda, że tak niewiele prac malarskich zostało po tym artyście. Skromny ich zbiorek nie daje pojęcia o talencie A. Chmielowskiego.

Dziwne wrażenie wywierają na zwiedzających te ciemne wyblakłe portrety, sceny rodzajowe i krajobrazy, wykonane techniką, jakiej dziś się nie używa, techniką szkoły monachijskiej.

W malarstwie Chmielowski nie potrafił wyrazić dostatecznie swych uczuć, nie zamknął w obrazach piękna duszy.

Drobne, a anemicznym rysunku fragmenty z powstania, zawierają wiele sentymentu i romantycznej melancholii. Bardzo nastrojowe są obrazy: „Pogrzeb samobójcy", „Szare godziny", „Widok z Włoch". „Ecce Homo", to jeden z ciekawszych obrazów religijnych brata Alberta.

Chmielowski nie malował barwami mocnymi, nasyconymi. Używał dużo cieniów. W latach gdy współczesny mu Aleksander Gierymski dąży do opanowania jak najlepszych efektów świetlnych, Chmielowski wykonuje początkowo swoje krajobrazy z fotograficzną dokładnością pozytywistów, nie troszcząc się o światło. Jedynie „Amazonka" przypominająca obrazy myśliwskie M. Gierymskiego, i „Kameduła w celi", świadczą o malarskim wyczuciu światła.

Czas, jaki upłynął od powstania tych prac, odbił się ujemnie na obrazach Chmielowskiego. Najbardziej ucierpiały akwarele, przeładowane barwą ciemną, zmęczoną, nieprzejrzystą, nakładaną na sucho.

Brat Albert nie wyzyskał swego talentu. Przyczyny leżą w tym może, że nie poświęcił się całkowicie malarstwu, pracując wiele dla najbiedniejszych i opuszczonych.

Bardzo dużo obrazów swych zniszczył. Te, które pozostały, mają wartość dokumentu po człowieku, którego życie całe było ofiarą dla drugich.

B. Sadowska

KARCZ

„A kiedy odchodzisz



PRZED AREOPAGIEM.



ABSOLWENT 1909.

gadu-gadu

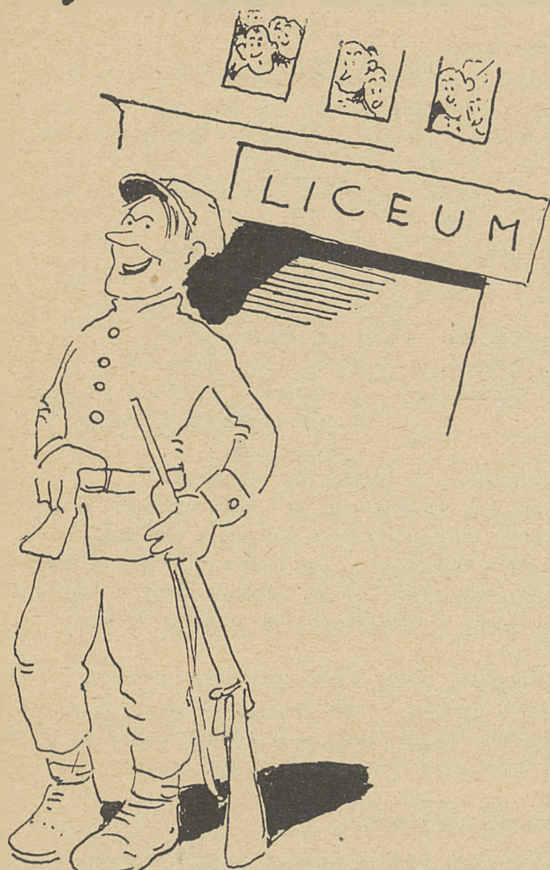
O.P.G. — Czyli obrona przed grafomanem

Grafoman może być: publicystą, felietonistą, nowelistą albo poetą. Grafoman doskonały musi cierpieć na wszystkie trzy przypadłości. Aby dać jego duchowy wizerunek, trzeba zanalizować psychiczny stan duszy człowieka oddającego się nałogowi pisania na wesoło czy smutno, z rymem czy bez. Zacznę tu od publicysty, jako, że ten rodzaj maniactwa jest najczęściej mimowolny, a nawet uprawiany pod presją ze strony różnych redaktorów, p. p. wychowawców itp.

Publicysta ma twarz ponurą, niedobre wejrzenie. W lecie do parku a w zimie na ślizgawkę chodzi zawsze z plikiem gazet i studiuje wieści ze świata politycznego. Na odnośnych mapach zaznacza czerwonymi chorągiewkami linie frontów i snuje przepowiednie, co będzie, kiedy ta wojna się skończy. Gdy jest w towarzystwie, a rozmowa zejdzie na temat kuligu, wybucha ponurym śmiechem i robi aluzje do polityki międzynarodowej i Ligi Narodów. Ogólnie rzecz biorąc, publicysta jest szkodliwy tylko wtedy, kiedy myśli nad nowymi rewelacjami do przygotowywanego numeru t. zn. raz na miesiąc.

Znacznie groźniej sprawa wygląda w przypadku „felietonizmu". Felieton jako rodzaj literacki najbardziej odpowiada humanistom, ze względu na swoją, że tak powiem — „indefinicjonalność". Cóż to jest felieton? Może to być pouczająca historyjka z sensem moralnym na końcu (jeżeli zaś przyjmiemy sławny pogląd Anatola Franca na historię, felietonistyka będzie jej dziełem), a może to być również H_2O treściowe, okrywające swe ubóstwo wewnętrzne połyskliwymi mozolnie wykoncypowanymi frazesami. Ten ostatni rodzaj felietonistyki uprawiają niektórzy kierownicy pism słabiej prosperujących jako t. zw. „łatajdziurę", gdy na pięć minut przed złożeniem numeru brak materiału nawet na kilka stroniczek. Redaktor taki jest wówczas grafomanem z musu i należy mu przynajmniej częściowo wybaczyć, bo co czyni, czyni wprawdzie z premedytacją i całkowitą świadomością, ale pod presją. Gorzej już jest, gdy do felietonu zabiera się winowajca z własnej, a nieprzymuszonej woli. W tym wypadku należy systematycznie stosować terapię, polegającą na przetrzymywaniu grafomaństw długo w tece. Czekając na wydrukowanie swego płodu, grafoman jest w ten sposób niejako psychicznie zahamowany i niezdolny do dalszej twórczości, nawet tak grafomańskiej jak własna. Felietonista nie jest jeszcze grafomanem w pełnym tego słowa znaczeniu. Brak mu rozmachu epika i łezki lirycznej, które to zalety w pełni posiadł dopiero spec od nowel. Nowelista (będący zwykle równocześnie poetą,

„bywaj zdrów!"



ABSOLWENT 1939.

ale o tym później) stanowi już specjalną „organizację psychiczną". Jako epik wielbi dźwięczne określenie, szerokie kompozycje i miesza do nich straszliwie „subtelne" westchnienie zranionej sarny. Są noweliści nałogowi i od przypadku. Ci „od przypadku" mają wenę na wiosnę razem z weltszmercem, nałogowcy piszą, piszą zawsze, wszędzie, o każdej porze. Ich Pegaz kona z śmiercią pisma, ale jest wytrzymały na oblane egzaminy i promocje.

Do całości wizerunku grafomana doskonałego należy jeszcze obowiązkowo — poezja. Grafoman kropi więc, co się nadarzy. „Co w polu to nieprzyjaciel". Klei: sonaty, sonety, pola elizejskie tam i z powrotem, dżungla, tygrys, małpa na drzewie albo pod, dedykacje, impresje, poświata księżycowa, szkarłatne skrzydła, szmaragdowe skrzydła — wszystko powiązane w rytmy i rymy, pomieszane — ot i „tomik" gotów. Taki tomik grafoman wydaje w skrytości za pieniądze własne lub łatwowiernego stryjaszka, w którego wmawia, że nagroda P.A.L. wynosi 5 tysięcy, a Nobla tyle co główna wygrana loterii klasowej. Tomik nosi najczęściej tytuł bojowy: „kanonada na strychu" lub sentymentalny „Tchnienia jutrzenne", albo zgoła oryginalny, jak „Aczkolwiek", „Zanadrze krzyku", „Usta bruku" itp.

Grafoman, który pisze — i nic, nie jest szkodliwy. Grafoman, który bierze raz za razem trudną przeszkodę druku, jest postrachem czytelnika, klęską kultury, obrazą sztuki i nauki. Taki jest niebezpieczny jak bomba płomienna, gazowa i burząca. Przeciwko takiemu należy się organizować.

Wstępujcie do Z. O. P. G. — Związku Obrony Przed Grafomanem!

T. Stasinowski

(Dok. ze str. 9-tej)

wi naszego powstania listopadowego, który w tym czasie, przewodził w ruchu zbrojnym na Węgrzech. Ale i powstanie na Węgrzech nie powiodło się — upadło.

Mimo tylu niepowodzeń, myśl o wyzwoleniu ojczyzny nie odstępowała Adama Mierosławskiego. Z myślą tą, powróciwszy na Ocean Indyjski, zakupił on statek, który nazwał symbolicznie: — „Moja Polska". Odbywał na tym statku dalekie podróże po morzach Australii i Archipelagu Malajskiego. Niestety, w 1850 r., przy niesieniu pomocy rybakom podczas burzy, postradał i tę żywą ostoję swych patriotycznych ideałów.

W rok potem, na innym statku, spotkała śmierć młodego kapitana. Właśnie wtedy statek jego mijał zachodnie brzegi wysp St. Paul i Amsterdam. Pewne poszlaki wskazują, że został zabity przez załogę dla rabunku. Nie znaleziono bowiem w jego kajucie pieniędzy, chociaż wracał właśnie z Australii po sprzedaniu tam bogatego, towarowego ładunku.

Z taką tajemnicą odszedł w toń Oceanu Indyjskiego zasłużony a zarazem romantyczny bohater naszych dziejów morskich i kolonialnych. Zginął nam w niepamięci, pozostała jednak po nim zasługa odkrycia dwóch wysp na Oceanie Indyjskim, gdzie był moment, że w obliczu świata miał załopotać sztandar Polski.

Zginęła też, jak legenda nazwa jego statku: „Moja Polska". Ale w naszych dziejach kolonialnych trwa ona z niemniejszą dumą, jak sławna Góra Kościuszki, nazwa najwyższego szczytu w Australii, odkrytego przez Edmunda Strzeleckiego, — jak Góra Kraszewskiego w Kamerunie, nazwana przez pierwszego badacza wnętrza Kamerunu, Stefana Rogozińskiego, — jak fort Motylińskiego na skrwawionych przez Ligę Cudzoziemską progach Sahary, — jak wreszcie nazwy wielu osad i miast w Ameryce Północnej i Południowej, w których myśl o Polsce wyraża po dziś dzień dogłębną treść patriotyczną świadczącą z faktów historycznych o tradycjach naszej idei morskiej i kolonialnej.

KRONIKA STRAŻOWA

KRONIKA ŻEŃSKA S. P.

1. Ofiary na F.O.N.

Naczelniczka Organizacji wyraża pochwałę tym zespołom, które odpowiedziały na wezwanie i złożyły ofiary na F.O.N., spełniając swój obowiązek obywatelski.

2. Zjazdy.

W Katowicach w dniu 18 maja odbył się zjazd zespołów Okręgu Śląskiego, na który przybyło kilkadziesiąt uczestniczek oraz Kadra Instruktorska.

Obrady pod przewodnictwem ob. Naczelniczki Okręgu J. Otto zamknęło ślubowanie 338 dziewcząt.

Na zjeździe był obecny p. wizytator Sołtys i przedstawiciele Rady Okręgowej. W zastępstwie ob. Naczelniczki Organizacji

w obradach wzięła udział ob. M. Strońska, członek Prezydium Rady Naczelnej.

3. Obozy.

Tabela obozów żeńskiej S. P. w lecie 1938 r.

1.	Okręg Warszawski i Mazowiecki st. kol. Chojnice miejscowość Kiedrowice	osób 40	3.VII.—30.VII.
2.	„ Lubelski i Poznański st. kol. Rokitno, Wieś Lewacze, pow. Kostopol woj. wołyńskie	„ 50	„ — „
3.	„ Krakowski i Wileński st. kol. Chojnice Hołówkowo, st. kol. Wygoda k. Lidy	„ 60	„ — „
4.	„ Wołyński Wygoda st. kol. Dukszty pow. święciański	„ 30	„ — „
5.	„ Pomorski st. kol. Opalenie Widlice woj. pomorskie	„ 50	1.VII.—28.VII.
6.	„ Łódzki, Brzeski i Śląski a) st. kol. Druja-Stajki	„ 100	29.VI. —29.VII.
	b) st. kol. Praszka, wieś Wygiełdowo	„ 30	„ „

W związku z warunkami chwili obecnej żeńskie obozy S. P. w tym roku rozbudują swą pracę w terenie, wprowadzając nowe działy pracy realizacyjnej: a) uczestniczki z pomocą popularnych pogadanek zaznajomią ludność z podstawowymi zasadami O.P.L. b) pod kierunkiem lekarek obozowych zaznajomią młodzież wiejską ew. starsze kobiety z podstawowymi zasadami ratownictwa, ochrony żywności przed zagazowaniem; c) w zakresie pracy samokształceniowej przepracują szereg tematów zleconych związanych z przygotowaniem kobiet do obrony Państwa; d) na wszystkich obozach przeszkolą się w strzelaniu na O.S. i zapoznają z krótką bronią palną.

W związku z tym zespoły winny natychmiast przystąpić do prac przygotowawczych, zbierać materiały propagandowe, nawiązać kontakt z LOPP, Polskim Czerwonym Krzyżem, Kołem Gospodyń Wiejskich i Związkiem Pań Domu, w tych to organizacjach mogą otrzymać materiały do pogadanek, które winny być już teraz przez zespoły przygotowane.

4. Nasz udział w pracach Przysp. Kob. do Obr. Kr.

Żeńska S. P. zgłosiła swój czynny udział w pracach Tygodnia P.W.K.

KRONIKA ODCINKA MĘSKIEGO

1. Odprawa Naczelników Okręgów i Komendantów obozów.

W dniu 21 maja odbyła się w Warszawie przedobozowa odprawa Naczelników Okręgów i Komendantów obozów męskich. Program odprawy objął omówienie działalności Organizacji za rok ubiegły oraz plan i charakter obozów letnich. Na odprawie stwierdzono: konieczność zastosowania sankcji w stosunku do zespołów nie wywiązujących się należycie z obowiązków organizacyjnych, położenie dużego nacisku na dyspozycyjność i zdyscyplinowanie zespołów, oraz zwrócenie większej uwagi na pracę samowychowawczo-ideową.

2. Akcja letnia.

Tegoroczna akcja letnia obejmie 12 obozów w tym 10 okręgowych i 2 centralne według następującego zestawienia.

Okręg Brzeski, Wileński i Łódzki — Brasławszczyźnie nad jez. Strusło, st. kol. Druja;
Okręg Krakowski i Wołyński — w Kartuzach na Wzgórzu Wolności;
Okręg Lubelski — w Firleju woj. lubelskie;
Okręg Lwowski — a) obozy w okolicach Tarnopola,
b) obozy w okolicach Sanoka;
Okręg Pomorski — nad jez. Żarnowieckim;
Okręg Poznański — w Narzymiu na Mazurach;
Okręg Warszawski — a) wędrowny kcjakowy po Niemnie,
b) w Hołówkowie w Stanicy S. P. (Nowogródczyzna);
Okręg Śląski — w Błotach Karwieńskich.

Poza tem przewidziane są obozy centralne: 1) o charakterze konferencji instruktorskiej w Narzymiu lub Hołówkowie, 2) szybowcowy w Hołówkowie. Zgłoszenia na obóz szybowcowy przyjmowane będą przez G.W.W. od dnia 15 lipca. Warunki udziału podane będą w przedobozowym numerze Biuletynu Informacyjnego.

Wszystkie obozy będą posiadały charakter realizacyjno-społeczny, niektóre z nich będą prowadziły obozy Orląt Z. S., ewentualnie innych organizacji społecznych. Czas trwania obozów 4 tygodnie w miesiącu lipcu wzgl. sierpniu.

3. Zawody strzeleckie.

W dniu 8 czerwca odbędą się w Warszawie indywidualne zawody strzeleckie o mistrzostwo Straży Przedniej. W zawodach wezmą udział zawodnicy wyeliminowani na zasadzie okręgowych zawodów korespondencyjnych.

4. Sprawozdania za II półrocze.

Wkrótce już G.W.W. rozpocznie wysyłkę formularzy sprawozdań. Sprawozdania za II półrocze winny być pod odpowiedzialnością osobistą kierowników zespołów nadesłane Ob. Naczelnikom Okręgów przed 21 czerwca. R:wnocześnie zespoły, które pomimo upomnień nie nadesłały dotychczas sprawozdania za I półrocze winny to uskutecznić po otrzymaniu blankietów zgłoszeniowych.

5. Zmiana adresu Prezydium Rady Naczelnej i Gł. Wydz. Wykonawczego.

Z dniem 2 czerwca b. r. zostaje zmieniony adres Gł. Wydz. Wyk. i Prezydium Rady Naczelnej. Od dnia tego lokal Organizacji mieścić się będzie przy ul. Boduena 1 m. 9.

6. Wpłaty na F.O.N., zamiast udziału w zlocie.

Naczelnik Orkanizacji wyraża uznanie zespołom i Obywatelom, którzy zamiast udziału w zlocie wpłacili odpowiednie kwoty na F.O.N. Główny Wydział Wykonawczy prosi o podakaz wpłacających zostanie umieszczony w numerze wakacyjnym wanie do jego wiadomości wszeikich wpłat z tego tytułu. Wy- Biuletynu.

WYDAWCA IMIENIEM STRAŻY PRZEDNIEJ: BOLESŁAW WASYLEWSKI

REDAGUJE KOMITET

Zakłady Graficzno-Introligatorskie J. DZIEWULSKI, Warszawa, Mariensztadt 8 (gmach własny)

„MŁODE OCZY” NA PARADYZIE

HAMLET — TEATR POLSKI

Niewystawiany od lat na scenach warszawskich, widziany po raz pierwszy Hamlet nie sprawił zawodu, jak to się nieraz dzieje z dawnymi arcydziełami scenicznymi. Wychodzimy, uderzeni nowoczesnością, a zatem — wiecznością konfliktów ludzkich w tym dziele i nieśmiertelnie piękną formą, jaką dał im Szekspir. Hamleta w druku odczuć do głębi się nie da. Geniusz teatru ułożył swą tragedię dla słuchaczy i widzów, nie dla czytelników. Hamlet żyje dopiero na scenie, czytany, przemawia dopiero po wizji scenicznej. Oczywiście — teatr jest tu obcym elementem, wdzierającym się pomiędzy dzieło i psychikę „odbiorcy”. Pomiędzy Hamletem czytanym a czytelnikiem stoi na przeszkodzie tylko czcionka. Hamlet grany, reżyserowany, w dekoracjach i kostiumach wprowadza w dzieło całą masę innych artystycznych elementów cudzej twórczości, która może wzbogacić ale i — skazić samo arcydzieło, a w każdym razie je zniekształca. Może dlatego grywa się Hamleta i bez kostiumów, bez dekoracyj, i we frakach na tle salonów itp. W każdym razie wystawienie Hamleta winno być możliwie wolne od obcej ingerencji artystycznej, zwłaszcza gdy nie jest ona psychicznie spokrewniona z duchem szekspirowskiego teatru. Dlatego wskazany jest tu raczej „klasycyzm”, spokój i opanowanie formy (gest, słowo, strój), raczej prostota kongenialna do tego arcydzieła dramatycznej prostoty, niż skomplikowana i subjektywna wybuchowość aktora. Zakrawa to na nonsens, ale — Hamlet nie da się zagrać wiernie i czysto, więc lepiej nieraz go — recytować. Patrząc na przedstawienie w T. Polskim myśleliśmy cały czas o — Osterwie i jego kreacjach mickiewiczowskich.

Węgierko zmusza nas do podziwu i najwyższego uznania dla swej wyraźnej, utalentowanej gry. Ale — wzbudza pragnienie oglądania... nowych jeszcze ujęć aktorskich, „zaostrza” nasz stosunek do dzieła, pobudza do lektury. Barszczewska w roli Ofelii zasługuje na pochwałę w części wstępnej. Kurnakowicz był dowcipniejszy od Poloniusza z tekstu. P. Pancewicz-Leszczyńska wykazała się godnym wielkiego uznania umiarem p. G. Buszyński wyróżniał się znakomitą maską. Piękny przekład Iwaszkiewicza, inscenizacja Węgierki, dekoracje i kostiumy Daszewskiego.

„SAMUEL ZBOROWSKI” — TEATR NARODOWY

Dramat historyczny F. Goetla został wznowiony celem wypełnienia tej luki, jaka niewątpliwie daje się odczuwać na scenach polskich a jaką jest: brak wielkiego, patriotycznego repertuaru poza twórczością romantyczną. Dramat Goetla osnuty na wspaniałym problemie historycznym, otrzymał od autora wspaniałą konstrukcję ideową, jasno i mocno nakreślone postaci i dynamikę dramatyczną aż do ostatniej sceny. Zalety te górują niewątpliwie nad jedną zasadniczą dla powodzenia tej sztuki wadą. Autor nie przemawia do widza językiem teatru. Przedstawienie jest właściwie nieustanną walką grających z tekstem, nienależycie plastycznym w dialogu, w konstrukcji poszczególnych scen, niejednolitym w stylu. Tragedia ta jest mieszaniną różnych stylów: od wysokiego koturnu do realizmu, od dźwięcznej, wierszowej liryki do zdań o brzmieniu... publicystycznym. Autorowi nie zabrakło talentu, artyzmu ani nawet wizji scenicznej. (Przykładem znakomita w zamiarze scena przerąbywania się wojsk polskich przez moskiewskie puszcze). Zabrakło mu swobody i rozmachu w nowym dla siebie jako epika żywiole teatralnym.

Zborowski, wielki indywidualista, jaśniepański sobiepan, kładący głowę pod topór dla idei swobody, a przecie mąż nad męże, rycerz nieustraszony, Polak dumny znalazł świetnego odtwórcę w Leszczyńskim. Jana Zamoyskiego, kanclerza, który skazanego przez siebie na śmierć jako chrześcijanin prosi o przebaczenie, z umiarem zagrał p. Damięcki. Cała niemal obsada zgromadziła kwiat mistrzów sceny polskiej, bo i Junosza-Stępowski, jako matejkowski Batory i Zelwerowicz, Dominiak, Fritsche, i znaczny zespół postaci drugorzędnych w sztuce znakomicie spełnił swe zadanie. Dekoracje i kostiumy biły w oczy świetnością epoki mocarstwowej, Inscenizacja i reżyseria L. Schillera.



WESOŁY ORDYNANS

Nowy aktor francuski Fernandel, za którym „przepada” w tej chwili Francja, spisuje się w tym filmie istotnie nieźle. Jego wyjątkowa, „końska” fizjognomia budzi szczerą sympatię i radość. Mniejszą sympatię, ba! — zdumienie budzi sposób, w jaki potraktowano w tym filmie wyższe szarże francuskiej armii. Przypomina się czeski film o austriackim feldmarszałku. Niedobrą reklamę ten film robi Francji.

„WIELKI WALC”

Film o Strausie jest artystyczną fantazją reżysera do spółki z kompozytorem, scenarzystą i aktorami. Ani takiego Straussa, ani takich walców, ani takich perypetyj nigdy w Wiedniu nie było. Komponowanie walca przy udziale szkapy dorożkarskiej, 2 pasterzy z wiedeńskiego lasku i pocztyliona jest pomysłem pustym lecz wdzięcznym. Cały ten film w gruncie rzeczy nie miałby wiele sensu, gdyby nie fenomenalny głos koloraturowej śpiewaczki Corius i jej niezwykła aparycja filmowa. Dzięki niej jest to uczta śpiewu, muzyki i tańca. Sławna Luiza Rainer, piękność o typie wschodnio-semickim w niczym nie przypomina wiedeńskiej piekarzówny.

„DR. MUREK”

Film ten robiono „na pewniaka”, ponieważ za wzór służył mu „Znachor” i „Wilczur”. „Na pewniaka” pracował reżyser, „na pewniaka” grał Brodniewicz, Junosza i Nora Ney. Perypetie dr. Murka miały jednak zbyt mało sensu w powieści, by mogły go zyskać na filmie. Mimo zacnego „morału” nieprawdopodobne historie „z trupamy i wróżkamy” zakrawają na pospolitą „bujdę” dla zasilenia kasy producenta. Szkoda raczej fatygi utalentowanego aktora Brodniewicza i niezłych zdjęć. Filmy tego typu nie działają kształcąco ani umoralniająco. Wręcz przeciwnie.

WSTAŃ I WALCZ!

Film z „dzikiego Zachodu” z Wallacem Beery i Robertem Taylorem! Treść mocna i szlachetna jak tytuł. Znana z wielu innych filmów tego rodzaju, stereotypowa akcja rozgrywa się tym razem na bardzo ciekawym tle ekonomicznym: rywalizacji dyliżansu i lokomotywy. Konflikt dramatyczny i walka pięści, rewolwerów i — charakterów rozgrywa się około handlu niewolnikami. Zdjęcia i dźwięk pod względem technicznym fatalne.

TRZY SERCA



Ojej! Hrabia zamieniony w kołysce! Na Jowisza, nie mógł już pan, panie reżyserze Waszyński, kręcić gorszej bzdury? I ten chłop jaśniepański i ten hrabia-pastuszek i pieniądze i miłość na odmianę to temu, to tamtemu aż do ...szczęśliwego zakończenia — film ten stoi na poziomie starych powieści ludowych Walerego Łazińskiego. Tylko że niestety w naszych wsiach nie ma kin! A film idzie „bite” trzy miesiące przy Marszałkowskiej! A produ-centusiom” w to graj!

W MŁODYCH OCZACH

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży

STRAŻ PRZEDNIA



WARUNKI PRENUMERATY

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ **3.00**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA ZŁ **1.50**

Cena pojedyńczego numeru 30 gr

NALEŻNOŚĆ WPŁACAĆ PRZEKAZEM ROZRACHUNKOWYM Nr. 275

z zaznaczeniem na odwrocie: pren. „W MŁODYCH OCZACH"

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI

WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 30, M. 8



Zakł. Graf.-Introl. J. Dziewulski, W-wa, Mariensztadt 8 (gmach własny)